• KATYŃ • KTO ZGINĄŁ W KATYNIU • LUBLIN: W SPRAWIE BIERUTA •
• WERNISAŻ W BIAŁEJ PODLASKIEJ • ANONIMY W BIŁGORAJU •
• WYWIAD ZE „SZTUCZNĄ BABĄ" • TYGODNIOWY PROGRAM TV •

TYGODNIK WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 9-15 III 1989 R. NR 8 CENA 50 ZŁ

„POLESIA CZAR", CZYLI NIECO SENTYMENTALNA PODRÓŻ NA WSCHÓD

Mirosław Haponiuk

SĄ różne podróże. Podobno niektóre kształcą. Z pewnością — o czym wie wielu Polaków — niektóre z nich bogacą. Są takie, które zostawiają smak przygody, i takie, które na zawsze wiążą przyjaźnią.

Mój wyjazd do Pińska, w sam środek poleskich błot, złączył w sobie różne uroki podróżowania, ale przede wszystkim był podróżą refleksyjną. Ton mojej relacji, w zamierzeniach oschły i analityczny, ulegał wciąż sentymentalnej nucie. W końcu poddałem się. Myślałem, że napiszę o teraźniejszości Pińska, o realiach pieriestrojki na Białorusi; słowem — coś aktualnego i gorącego. Tymczasem uległem pokusie poszukiwania istoty Polesia. Może nie ma żadnej tajemnicy? Może ten „Polesia czar" to tylko urojenie zwodzące, jak mityczny Wiun, dziwny stwór, ni to wąż, ni to ryba, zamieszkujący podobno tutejsze bagna?

Różne czasy i różne wydarzenia zostawiły w Pińsku swoje ślady, nie tylko w samym mieście, ale również — szczególnie te najnowsze — w świadomości jego mieszkańców. Jezuicki barok sąsiadował tutaj z kopulastym Bizancjum. Żydowski handel z potężnymi latyfundiami spolonizowanej litewskiej magnaterii. Bogactwo ze skrajną biedą. Nacjonalizmy — polski, rosyjski, ukraiński i najmłodszy, a zarazem najłagodniejszy, białoruski — mieszały się z narodowym indyferentyzmem miejscowej ludności.

Pińsk — „gwiazda" błotnistej i zamglonej okolicy. Teraz osuszonej, chyba zbyt gwałtownie, aby mogło się to obyć bez szkody dla wrażliwej błotnej natury. Pińsk, któremu przepowiadano niegdyś karierę Liverpoolu. „Jak się nie dziwić — pisał podróżujący po Pińszczyźnie J. I. Kraszewski — cudownemu instynktowi, który przed tyluset laty wybrać potrafił to miejsce na siedzibę, u zbiegu kilkunastu rzek, na posadzie bajecznego morza?"

Miasto, o którym latopis Nestora wspomina już w 1097 r.

Miasto tzw. „pińskiej floty" — śródlądowej marynarki wojennej. Jeszcze dziś biała marynarska czapka, wiele setek kilometrów od morza, w środku stałego lądu, przypomina, że Pińsk jest ważnym węzłem wodnym i ma połączenia z morzami: Czarnym, Bałtyckim i Białym.

Miasto handlu. Nabrzeża Piny pełne były przewoźników i kupców, a nowobogacki i żebrak jednako wpatrzeni byli w barki wypełnione solą i wódką, czarnobylskim dębem i ukraińską pszenicą. Ku temu nabrzeżu ciągnęły z zachodu i na zachód wozy ładowne towarem. Tutaj rodziły się fortuny i tutaj upadały. Rzeki, powolnie snujące się przez krainę płaską i błotnistą, zewsząd zarośniętą oczeretem, zamieszkaną przez przysłowiowe biedne chłopstwo, zapewniały rację bytu i względny dostatek miastu.

Fot. Waldemar Stępień

NIEGDYŚ wszystkich przyjeżdżających do Pińska już z daleka witały wysokie wieże potężnego kościoła Jezuitów, jeszcze mocniej podkreślające i tak oczywiste królowanie miasta nad poleskimi błotami. Dzisiaj tego kościoła już nie ma. Widziałem jego przedwojenne fotografie i trudno mi zachwycić się jego wymyślną, ale pozbawioną wdzięku sylwetką. Daleko mu do urody baroku wileńskiego. Jedynie wielkość, arogancka i nieokiełznana, musiała w mieście żydowskich lepianek i w okolicy kurnych chat budzić podziw i respekt, a może i trwogę. Był symbolem woli panowania zwycięskiej kontrreformacji nad „ruską" okolicą i nad błotami zamieszkanymi przez pracowitych i zacofanych „schizmatyków". Potężny głaz rzucony w sam środek poleskiego błota, aby być ostoją katolicyzmu i polskości, przekraczał tutejszą miarę, przytłaczał swoją wielkością wszystko, co na Polesiu do dzisiaj wybudowano. Dzisiaj go już nie ma, ale wspominany jest w Pińsku jako cud nieskończony architektonicznego kunsztu.

Jeszcze wcześniej opuściło Pińsk ciało św. Andrzeja Boboli, zamordowanego przez Kozaków Chmielnickiego, gdy w pobliskim Janowie odprawiał mszę, potem, za Benedykta IV, kanonizowanego. To następny symbol walki o duchowe panowanie nad Polesiem i nie pierwsza, a także nie ostatnia tej walki ofiara. Kościół Jezuitów: butnie i bez miary, wolą b...

Dokończenie na str. 6—7

relacje ZE ŚWIATA

◆ NAJAMBITNIEJSZĄ jak dotąd próbą Wschodu i Zachodu zredukowania olbrzymich arsenałów broni konwencjonalnej, zalegających od Atlantyku po Ural, są — zdaniem m.in. Reutera — rozpoczęte 6 marca w Wiedniu rokowania, w których uczestniczą wszystkie (16) państwa NATO i 7 państw Układu Warszawskiego.

◆ NORMALIZACJA stosunków gospodarczych między Polską a RFN, o czym głośno było (szczególnie w polskich mass mediach) podczas wizyty premiera Rakowskiego w Bonn, pozostaje kwestią niedalekiej, lecz bliżej nie określonej przyszłości. Takie stanowisko zajął rząd federalny, jak wiadomo — koalicyjny. Znajdująca się w jego składzie FDP jest „za Polakami", zaś CSU spełnia — jak widać skutecznie — rolę „hamulcowego". Na razie polski temat występuje w RFN głównie przy okazji spraw azylantów, zaś w Berlinie Zachodnim wiąże się on z działalnością turystów-handlarzy, którzy potrafią znaleźć tu amatorów na masło, serek.

◆ PONAD 300 zabitych i kilkuset rannych to bilans niedawnych zamieszek (na tle ekonomicznym) w Wenezueli. Spokój na ulice miast powrócił dopiero po zapowiedzi podwyżek płac. Wenezuela zawiesiła spłatę kredytów.

◆ PROCHY ŚW. KAZIMIERZA (1458—1484; syna Kazimierza Jagiellończyka), namiestnika królewskiego na Litwie, gdzie zasłynął z wielkiej pobożności oraz niesienia pomocy chorym i biednym, kanonizowanego w 1602 r. — powróciły do kościoła katedralnego w Wilnie. Od czasu zamknięcia tej świątyni w 1953 r. srebrna trumna z prochami patrona Litwy, znajdowała się w kościele pod wezwaniem św. Piotra i Pawła.

◆ RADZIECCY ŻOŁNIERZE handlowali amunicją do pistoletów maszynowych. Partnerami byli... uczniowie szkół podstawowych w mieście Gyoer. Na ślad tych kontaktów handlowych wpadła węgierska milicja, a po ustaleniu źródeł pochodzenia amunicji poinformowała prokuratora wojskowego Armii Radzieckiej. Ten potwierdził fakty ustalone przez węgierskie organa ścigania, stwierdzając równocześnie, że broni żołnierze nie sprzedawali. (I)

◆ GEORGE BUSH trafił na radziecki rynek księgarski. Wydawnictwo „Progress" udostępniło autobiografię prezydenta USA („Patrząc w przyszłość") w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy po 1,60 rubla za książkę. Przed księgarniami, gdzie sprzedaje się tę pozycję — kolejki. (I)

◆ MILION EGZEMPLARZY BIBLII wydanych w języku rosyjskim przez oficynę londyńską trafi do wiernych w ZSRR. Decyzja o debicie dla „Pisma Świętego" w tak bezprecedensowym nakładzie ma związek z obchodami tysiąclecia chrztu Rusi. (I)

◆ LICZBA OFIAR STALINIZMU sięga 40 mln — stwierdza na łamach „Argumentów i Faktów", po dokonaniu szczegółowych obliczeń, R. Miedwiediew.

◆ ZWIĄZEK RADZIECKI w dziesięcioleciu 1974—84 na sprzedaży ropy naftowej zarobił 176 mld rubli. Eksportowano także około 200 ton złota rocznie. „Przy takim bogactwie powinniśmy opływać we wszelkie dostatki, a przecież tak nie jest" — pisze G. Lisiczkin w „Izwiestiach". Wyjście z tej sytuacji upartruje w rzeczywistym równouprawnieniu wszystkich form własności.

◆ WĘGIERSKIE MSW poinformowało o pociągnięciu do odpowiedzialności milicjantów, którzy pobili polskich turystów handlujących na bazarze w Varpalota.

◆ PIJANYM SŁONIOM — podobnie jak i pewnym dwunogom — najlepiej zejść z drogi. Świadczy o tym następujące zdarzenie. Stado złożone z siedmiu głodnych „Trąbalskich" zawitało do pewnej nepalskiej wioski. Po spożyciu zapasów zboża, spragnione natknęły się na piwnicę z domowym winem. Podchmielone słonie rozdeptały kilka wiosek, były ofiary w ludziach.

relacje Z KRAJU

◆ POJAWIAJĄCE SIĘ społeczne zniecierpliwienie przedłużającymi się i niosącymi liczne kontrowersje obradami zespołów i podzespołów „okrągłego stołu", to przyczyny — jak można sądzić — dla których doszło do spotkań Kiszczak — Wałęsa. Komunikaty z tych spotkań informują o dwu istotnych ustaleniach: primo — „okrągły stół" powinien zakończyć się w drugiej połowie marca, secundo — w tym samym czasie rozpocznie się proces wcielania ustaleń wypracowanych w trakcie dialogu.

◆ „SCENARIUSZ MIĘSNY", ogłoszony w imieniu rządu przez wicepremiera Olesiaka, przewiduje w pierwszej kolejności wprowadzenie wolnorynkowych cen skupu, a następnie — również wolnorynkowych cen mięsa i jego przetworów. Tym samym likwidacji ulegałyby kartki, za których utrzymaniem opowiada się dziś trzy czwarte rodaków. Ceny żywności, w stosunku do obecnie obowiązujących, wzrosłyby o 231 proc. Resorty: rolnictwa i finansów miałyby zrekompensować wzrost kosztów utrzymania. Pomiędzy ogół Polaków podzielona zostałaby kwota 620 mld zł, będąca dotychczasową dotacją państwa do produkcji tego rodzaju żywności. W tej sytuacji miesięczna rekompensata wyniosłaby 8 tys. zł na osobę.

Pierwszą reakcją na te zapowiedzi jest lęk „zwykłych zjadaczy mięsa".

◆ „POROZUMIENIE JEST NIEZBĘDNE, BIJATYKI COFNĄ NAS..." — powiedział Lech Wałęsa na Uniwersytecie Warszawskim. Było to kolejne z „uspokajająco-perswazyjnych" spotkań przywódcy „Solidarności", jakie odbył w różnych regionach Polski. Podobne „tournee" zapowiedział szef OPZZ, Alfred Miodowicz.

◆ KOLEGIUM REKTORÓW krakowskich uczelni potępiło antyradzieckie wybryki studentów. W oświadczeniu tym rektorzy opowiedzieli się za jak najszybszą rejestracją NZS.

◆ W POSŁANIU skierowanym do legendarnego dowódcy, mieszkającego w Szkocji, 98-letniego dziś gen. Maczka, premier Rakowski wyraził pragnienie naprawienia krzywd, których generał doznał w przeszłości od polskich władz.

◆ WOJCIECH ŻUKROWSKI ponownie wybrany został prezesem Związku Literatów Polskich. Zjazdowi ZLP poświęcimy oddzielną publikację.

◆ DO SEJMU wpłynął projekt ustawy o ochronie dziecka poczętego. Pod dokumentem widnieją podpisy 78 posłów.

◆ Z OBECNĄ liczbą studentów zajmujemy jedno z ostatnich miejsc w Europie (z danych GUS).

◆ POLSKIE SŁOWO nie może być towarem reglamentowanym. Twórczość literacka w języku polskim powinna być dostępna wszystkim Polakom, niezależnie od miejsca zamieszkania. Książki wydawane za granicą powinny bez przeszkód docierać do kraju, a twórczość krajowa bez przeszkód — za granicę. Takie myśli zostały wypowiedziane na spotkaniu w Towarzystwie „Polonia" przez m.in. Bogdana Suchodolskiego, Mariana Stępnia, Andrzeja Kurza i Józefa Klasę. Wskazano na pilną potrzebę zniesienia zakazu wwozu do Polski niektórych tytułów literatury emigracyjnej. Zapowiedziano wydanie w kraju m.in. Herlinga-Grudzińskiego, Straszewicza, Łobodowskiego, Bobkowskiego, Iwaniuka, a także nie publikowanych dzieł Miłosza i Wierzyńskiego. Przygotowywane jest również spotkanie wydawców krajowych i emigracyjnych oraz udział tych drugich w warszawskich Targach Książki. (i)

relacje Z REGIONU

◆ W POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ trwa kampania sprawozdawcza. Konferencje wojewódzkie odbyły się w Białej Podlaskiej, Chełmie i Zamościu, a w ostatnią sobotę (4 bm.) w Lublinie. O tej ostatniej:

Lubelska organizacja partyjna w ostatnich dwóch latach powiększyła się o 546 osób, obecnie liczy 50 166 członków i kandydatów. W ponad połowie (53,6 proc.) są nimi pracownicy umysłowi, robotników jest 30 proc., średni wiek członka PZPR w Lubelskiem wynosi 47,4 lat. Tyle z dokumentów.

I sekretarz KW PZPR, Andrzej Szpringer, otwierając obrady powiedział, że odbywają się one „w okresie fundamentalnych przewartościowań w sposobie pojmowania socjalizmu". Zarówno w referacie Egzekutywy, jak i w dyskusji, dominowały sprawy wewnątrzpartyjne, z obszaru życia gospodarczego i społecznego, również dotyczące niedawnej historii. Oto Wojewódzki Zespół Poselski, w obliczu toczącej się również na Lubelszczyźnie dyskusji, wystąpił do Prezydium Sejmu o powołanie komisji sejmowej, która oceniłaby działalność państwową Bieruta. Również uczestnicy konferencji zwrócili się do centralnych władz PZPR z wnioskiem o powołanie komisji do wszechstronnej oceny działalności politycznej byłego I sekretarza KC — Bolesława Bieruta.

Przytoczmy jeszcze fragment z referatu Egzekutywy: „Mamy przy sobie młodą inteligencję twórczą z jej pismem »Akcent«. Powstał nowy, interesujący tygodnik »Relacje«, w kontrowersyjnym składzie redakcyjnym i o tak samo kontrowersyjnym profilu publicystycznym". Passus ten kończy stwierdzenie: „Zachodzące szybko przemiany, wymagają zerwania z tradycją tematów tabu".

Szczegółowe sprawozdanie z konferencji zamieściły lubelskie dzienniki.

◆ KONFLIKT NA TLE PŁACOWYM stał się przyczyną trzydniowego strajku w lubelskich Zakładach Mięsnych. Strajk zawieszony został do 7 marca, do czasu, kiedy to dyrekcja przedstawi każdemu zatrudnionemu wysokość płacy obliczonej według nowych stawek.

Z żądaniem podwyżki poborów, średnio o 30 tys. zł, wystąpili pracownicy puławskiego oddziału PTHW. Po odmowie dyrekcji, umotywowanej stanem kasy przedsiębiorstwa, ogłoszone zostało pogotowie strajkowe do 21 marca. A jeśli po tym terminie nie wzrosną płace w żądanej wysokości — ma się rozpocząć strajk.

Od 1 marca autobusy komunikacji miejskiej w Chełmie kursują z napisem umieszczonym na przedniej szybie: „Pogotowie strajkowe". Powód — jak wyżej. W woj. chełmskim konflikty na tle płacowym miały miejsce w 17 zakładach. W żadnym jednak nie doszło do przerwania pracy.

◆ CZŁONKOWIE FEDERACJI ZIELONYCH zorganizowali w Lublinie kolejną już manifestację (legalną) przeciwko budowie w Polsce elektrowni atomowych. Wspierani przez „zielonych", m.in. z Krakowa i Szwecji, dowodzili ogromnych kosztów i zagrożeń, jakie niesie energetyka jądrowa. W liście, który zamierzają skierować do Sejmu, upominają się o zorganizowanie ogólnonarodowego referendum w tejże sprawie.

◆ ADAM NATANEK, szef Filharmonii Lubelskiej, dyrygował w Hiszpanii. Tournée po półwyspie odbywał wraz z orkiestrą z Valladolid. W Madrycie natomiast konferował ze znanym hiszpańskim impresariem na temat warunków i programu wyjazdu lubelskich filharmoników do tego kraju, co ma nastąpić we wrześniu br.

◆ ZBYTNIO pospieszyłem się podając — będące w rzeczywistości projektem — wysokości oprocentowania wkładów ulokowanych w lubelskim Banku Depozytowo-Kredytowym. Zarząd banku („oszczędzając" po 2 proc. w stosunku do projektu), zadecydował, że: przy lokacie trzymiesięcznej oprocentowanie wyniesie 25 proc., półrocznej — 38 proc., rocznej — 48 proc., dwuletniej (w stosunku rocznym) — 55 proc. Zawiedzionych przepraszam.

Oprac. Zbigniew Miazga

„W BIŁGORAJSKIEJ Spółdzielni Niewidomych »Tanew« wybuchła epidemia ślepoty" — napisał w maju 1988 r. Sylwester Peryt, naczelny redaktor miesięcznika „Niewidomy Spółdzielca" w artykule pt. „Co słychać nad Ładą". I dalej:

„Zatrzymała nas kobieta w płaszczu narzuconym na strój roboczy, błagalnie prosząc o wysłuchanie. — Panie redaktorze, u nas w spółdzielni jest spora grupa osób, które »załatwiły« sobie II grupę inwalidzką z tytułu utraty wzroku. Jeden taki i mnie proponował, żebym dała... to załatwi dwójkę. To straszne, jak ci ludzie »doją« teraz naszą spółdzielnię, a nam, inwalidom, śmieją się w nos... Jeszcze nie ostygły ich orzeczenia o tej niby dwójce, a już powystępowali o dotacje...

Odwiedzamy niewidomą panią Irenę Rutynową z Tarnogrodu... O spółdzielni wypowiada się pozytywnie. Drażni ją tylko to, że czasami urzędnicy nieżyczliwie odnoszą się do niewidomych pracowników. Ot, choćby pan M. z działu rehabilitacji. Ostatnio panią Irenę, wiceprzewodniczącą zarządu koła Polskiego Związku Niewidomych w Biłgoraju ogarnęło wielkie zdumienie, gdy podczas posiedzenia koła przyjmowano tegoż pana w poczet członków PZN. Otrzymał orzeczenie KIZ, przyznające mu II grupę inwalidztwa z tytułu utraty wzroku. — Takie orzeczenie komisji bardzo boli niewidomego człowieka — mówi pani Irena. — Przecież wiem, że ten pan jeździ swoim samochodem bez kierowcy".

Po wydrukowaniu artykułu redakcja nie otrzymała ze spółdzielni „Tanew" żadnego wyjaśnienia. Za to w Biłgoraju zawrzało jak w ulu.

Już w czerwcu siedem osób z grupy kilkunastu, którym biłgorajska KIZ przyznała II grupę inwalidzką, wezwanych zostało do Zamościa przed oblicze wojewódzkiej KIZ. Wszystkim cofnięto II grupę.

W związku z tym osoby te utraciły prawa do 7-godzinnego dnia pracy i dodatkowego 10-dniowego urlopu. Utraciły też prawo należenia do Polskiego Związku Niewidomych, a co za tym idzie — do 50-procentowej zniżki na PKS, bezpłatnego przewozu przewod-

DO neokatechumenatu weszłam w pierwszej klasie liceum. Miałam wtedy szesnaście lat. Jak większość moich rówieśników, angażowałam się wówczas w politykę. Snułam plany działalności podziemnej, wychodzenia na ulicę, manifestowania buntu, niezgody na unicestwienie „Solidarności", która także dla nas oznaczała nadzieję. Wraz z upływem czasu docierała do mnie świadomość, że nie jest to jednak moja droga. Nie odczuwałam szczęścia.

Pozornie wszystko było w porządku — w szkole szło mi dobrze, w domu panował spokój, ale we mnie nie było odwagi. Nawet drobne niepowodzenia wtrącały mnie w stan niepokoju, paniki, rozedrgania; przyginały mnie do ziemi. Zrozumiałam, że muszę znaleźć jakiś sposób na wewnętrzny ład. Człowiek, który nie odnajdzie własnej harmonii, będzie burzył życie; zniszczy siebie, tych, których kocha i którzy kochają jego, zdepcze swój kraj. Wszyscy powinniśmy szukać pokoju, ale wychodząc od własnej małej egzystencji.

O wspólnocie dowiedziałam się od matki przyjaciela. Byłam nieufna. Dwuletnia przynależność do neokatechumenatu nie zmieniła jej tak bardzo. Swoim życiem nie dawała świadectwa prawdzie. Powiedziałam więc sobie, że pójdę tam tylko raz. Może popychała mnie ciekawość. Około dwustu osób przyszło wtedy na te katechezy i podzielono nas na dwie wspólnoty.

Na katechezach dowiedziałam się, co innym ludziom dała droga. Bo przebywanie we wspólnocie to droga. Ma swoje etapy (pierwsze scrutinium i drugie scrutinium) i ma swój koniec. Wiedzie do odnowienia chrztu, do powtórzenia wyznania wiary, ale już w pełni świadomości i przekonania. Zmartwychwstanie możliwe jest nie tylko po śmierci — może dokonać się również tutaj. Życie na ziemi zdolne jest przynieść szczęście, miłość do drugiego człowieka, pogodę.

Kościół katolicki zdewaluował wiele swoich pierwotnych wartości. Odebrał nam choćby zdolność modlitwy. Podczas mszy jedni mamroczą coś pod nosem, inni powtarzają bezmyślnie „Ojcze nasz". Czy czują w tym obecność Boga? Czy zdolni są do rozmowy z Nim? Czy słyszą Jego odpowiedzi?

ANONIMÓW NIE PISAŁAM...

Izabella Wiazłowska

nika we wszystkich środkach lokomocji, bezpłatnego przewozu wraz z przewodnikiem w miejskich środkach lokomocji, a także korzystania ze środków tzw. funduszu rehabilitacyjnego (w ubiegłym roku wynosił on 30 tys. zł na osobę, w bieżącym — 50 tys. zł) na zakup sprzętu ułatwiającego życie inwalidzie, a więc: lodówki, pralki, odkurzacza, radia, magnetofonu itd.

W grupie kilkunastu osób, które w Biłgoraju „wystarały" się o uzyskanie II grupy inwalidzkiej z tytułu utraty wzroku, byli między innymi: prezes spółdzielni „Tanew", wiceprezes ds. technicznych, zastępca głównego księgowego, kierownik zakładu nr 2, kierownik działu rehabilitacji, kierownik działu pędzli, kierownik działu nakładczego i magazynier.

Tyle utraconych profitów nie mogło pozostać bez echa. Zamiast jednak spojrzeć prawdzie w oczy, Rada Nadzorcza spółdzielni postanowiła znaleźć winnego tego, co się stało.

Na posiedzeniu Rady Nadzorczej 21 lipca 1988 roku ukarano Jerzego Wójcika, zastępcę prezesa ds. rehabilitacji. Za co? Ano poczytajmy:

„W odpowiedzi na pismo Ob. w sprawie wyjaśnień dotyczących udzielenia ustnego upomnienia Rada Nadzorcza stoi na stanowisku, że ponosi Ob. całkowitą odpowiedzialność za postępowanie jego lektorki, Wandy Szwali... Zarząd, a tym bardziej Rada nie mogą wpływać na jej szkodliwą działalność... Szereg działań Ob. Szwali spowodowało istotne naruszenie zasad współżycia społecznego w spółdzielni, utratę zaufania do w/w i Obywatela i dało załodze podstawę do podejrzeń, że to z jej inicjatywy odnośne władze dały szereg niekorzystnych decyzji w stosunku do poszczególnych pracowników i całej spółdzielni [pewnie chodzi o cofnięcie II grup — przyp. I.W.].

Spostrzeżenia te zostały potwierdzone w treści artykułów zamieszczonych w »Pochodni« i »Niewidomym Spółdzielcy« zawierających szereg nieobiektywnych i niezgodnych z prawdą ocen i opinii. Nie jest tajemnicą dla wszystkich pracowników, że autorom tych artykułów, oczywiście bez upoważnienia, informacji udzielała Wanda Szwala.

W tej sytuacji Rada zmuszona została do żądania od Obywatela zmiany lektorki i wydania zakazu przebywania Ob. Szwali na terenie spółdzielni.

Po przeanalizowaniu postępowania Obywatela w omawianej sprawie Rada uznała, że istnieją dostateczne podstawy do udzielenia Ob. upomnienia. Rada czuje się zobowiązana do podjęcia wszelkich dostępnych jej środków zmierzających do poprawy atmosfery dobrej współpracy w spółdzielni".

Kim jest Jerzy Wójcik, pełniący w spółdzielni funkcję zastępcy prezesa do spraw rehabilitacji?

— Jestem tam obcy — mówi z uśmiechem Jerzy Wójcik, który wraz ze swoją lektorką przyjechał do redakcji. — Do Biłgoraja przybyłem pięć lat temu z Muszyny. Moim zadaniem było wyszukiwanie na tym terenie osób niewidomych, chętnych do pracy. W 1987 roku przekroczony został wskaźnik 50 proc., co oznacza, że połowę zatrudnionych w spółdzielni stanowią niewidomi.

Fragment z artykułu „Co słychać nad Ładą":

„Pani Irena Rutynowa z Tarnogrodu pracuje w spółdzielni 5 lat. Gdy utraciła wzrok i siedziała w domu odnalazł ją prezes Jerzy Wójcik i zaproponował pracę.

— Roześmiałam się z tej propozycji — mówi pani Irena — nie wyobrażałam sobie, by człowiek niewidomy mógł wykonywać jakąś zarobkową pracę. Teraz już wiem, że jest inaczej. Przy pomocy męża dajemy sobie radę z produkcją".

— Niewidomemu potrzebny jest drugi człowiek, lektor — stwierdza Jerzy Wójcik. — Musi to być osoba, do której ma absolutne zaufanie. Bo to ona staje się jego oczami. Takim lektorem dla mnie jest od lat pani Wanda Szwala. Rada Nadzorcza spółdzielni cofnęła mi dodatek, z którego opłacałem lektora, i przydzieliła mi tzw. lektora z urzędu. I proszę mi wierzyć, że nie zawsze jestem pewny, czy dokumenty, które podpisuję, to są te, które mi przed chwilą lektor przeczytał. W obecnej sytuacji, która jest w spółdzielni, czuję się po prostu osaczony, tym bardziej, że pozostałe kierownictwo spółdzielni to osoby, które widzą. A mnie do emerytury pozostało tylko dwa lata.

Pani Wanda Szwala kładzie na moje biurko teczkę z dokumentami.

— Ja anonimów nie pisałam — mówi — z redaktorami nie rozmawiałam, co mi pisemnie potwierdzili, i nie będę odpowiadała za winy, których nie popełniłam, a które Rada Nadzorcza usiłuje zwalić na mnie i na pana Wójcika. Mam za sobą ponad trzydzieści lat nienagannej pracy i nie pozwolę, by mnie szkalowano. Prawdę napisał warszawski dziennikarz:

„Cała sprawa świadczy wymownie o stosunkach i stosuneczkach, jakie panują w Biłgoraju. Dobrze byłoby oczyścić tę zatęchłą atmosferę i wpuścić tam nieco świeżego powietrza".

Na razie do spółdzielni „Tanew" świeże powietrze jakoś dotrzeć nie może.

— Ponieważ posądzono mnie, że pisałam donosy i anonimy, w wyniku których cofnięto niektórym „ważnym" osobom II grupę inwalidzką — stwierdza Wanda Szwala — zwróciłam się do prezesa spółdzielni Tadeusza Dyjaka z prośbą o zapoznanie mnie z treścią rzekomego anonimu. Usłyszałam, że anonimu właściwie nikt nie widział i że są to przypuszczenia członków Rady Nadzorczej. Zwróciłam się więc do Rady o podanie nazwisk osób pomawiających mnie o pisanie anonimów. Rada nie udzieliła mi odpowiedzi. Byłam osobą niewygodną, gdyż dostarczałam wiceprezesowi Wójcikowi rzetelnych informacji. W wyniku przeglądu dokumentacji kadrowej stwierdziłam na przykład szereg nieprawidłowości, o których w oddzielnym piśmie wiceprezes Wójcik poinformował prezesa Dyjaka, który przecież widzi i wszystko to mógł sam potwierdzić. Nieprawidłowości dotyczyły dokonywanych wyskrobywań i poprawek na kartach ewidencyjnych urlopu i liście obecności. Dotyczyło to kierownika zakładu nr 2, kierownika działu rehabilitacji, za który to dział bezpośrednio odpowiada przecież wiceprezes Wójcik, i zastępcy głównego księgowego, a więc osób, którym cofnięte zostały II grupy inwalidztwa. Co gorsza, ujawniałam też nieterminowe załatwianie wniosków pracowników ubiegających się o rentę, które czekały i po kilka miesięcy. Widzi więc pani, dlaczego byłam niewygodna. Trzeba się było mnie pozbyć pod jakimkolwiek pretekstem. I pozbyto się mnie.

W piśmie skierowanym do płk. Mariana Golwala, prezesa Centralnego Związku Spółdzielni Niewidomych, Wanda Szwala napisała w zakończeniu: „Rada cieszy się sukcesem, bo odebrali Jerzemu Wójcikowi lektora. Będzie on teraz siedział jak przysłowiowy »kot w worku«. Nie będzie rzetelnie informowany, nie będzie więc mógł wiedzieć, co dzieje się wokół niego. Każda chęć działania J. Wójcika, czy interwencje w słusznych sprawach dotyczących niewidomych, kwitowana jest niechęcią i lekceważeniem, a równocześnie groźbą odwołania go ze stanowiska zastępcy prezesa do spraw rehabilitacji."

„POWRÓT DO PROSTOTY I PRZYWRÓCENIE SENSU PODSTAWOWYM WARTOŚCIOM TO JEDYNA SZANSA NA ODNALEZIENIE ZAGUBIONEGO CZŁOWIECZEŃSTWA"

DROGA

Homilie płynące z ambon są puste, jałowe, nijakie.

Żeby się ponownie nawrócić, trzeba najpierw zejść o te dwa, trzy stopnie w dół — do źródeł własnego grzechu. Cicco Arguelli, który założył wspólnoty, działał początkowo wśród prostytutek, alkoholików, narkomanów. Im najłatwiej się oczyścić; mają swój grzech wypisany na czole. W przypadku nas, „normalnych" ludzi, docieranie do grzechu jest trudniejsze; z reguły leży on ukryty głęboko pod warstwą pruderii, nieświadomości, samousprawiedliwienia. By go odkopać, trzeba otworzyć się do końca i uzyskać wsparcie innych braci.

We wspólnocie mówimy o swoim życiu i to jest bardzo przekonywające. Im wyższy stopień wtajemniczenia, tym pełniejsza szczerość. Jest to nasze dzielenie się Słowem. Widziałam, jak różne rzeczy działy się na drodze z ludźmi. Jak chorzy, degeneraci, uzależnieni, homoseksualiści znajdowali wyzwolenie. Gdyby Bóg nie wyprowadził ich z nieszczęścia, sami nigdy by się z niego nie podnieśli.

Ogłoszono nam kerimat — dobrą nowinę, że jest Bóg, że jest nawrócenie, że istnieje szczęście. Trzeba tylko przełamać bariery w sobie i wokół siebie. We wspólnocie wszyscy mówimy sobie po imieniu. Nie liczy się wiek, pochodzenie, zasób wiedzy, jaką dysponujemy, zawartość naszych kieszeni. Taksówkarz, ekspedientka, robotnik zasiadają obok lekarza, studenta, profesora uniwersytetu.

Ale wspólnota to nie prosta sielanka. Przeżywaliśmy także wiele przykrych momentów. Chwilami czułam złość i obrzydzenie. Nie mogłam już patrzeć na tych ludzi. Z nimi było podobnie. Wyzwalała się agresja. Bywało, że ktoś odwracał się w stronę innego i wykrzykiwał: „No co się gapisz, baranie?!". Ale tak trzeba. Proces akceptacji drugiego człowieka nie jest łatwy. Po kilku pierwszych spotkaniach nadeszła konwiwencja — taki wspólny wyjazd na kilka dni. Teraz dopiero poznaliśmy bliżej założenia i cele naszego ruchu.

Życie człowieka pogrążonego w chaosie jest krążeniem wokół śmierci. Ustawicznie towarzyszy mu jej świadomość i popycha ku obłędnej pogoni za idolami. Projekcja naszej przyszłości, nasze życiowe plany pełne są fałszywych odniesień — wizerunku kariery, awansu, dobrobytu. Przenosimy te projekcje także na życie innych; na miłość rodzicielską, małżeńską. Dużo w nas schematu, schlebiania własnym ambicjom, mało dawania z siebie. Dokonujemy drobiazgowej reglamentacji cudzego życia. Mówimy: „Chcę, aby moje dziecko było tym i tym, poślubiło tego i tego, podparło moją starość. Ba, moje dziecko **musi** być tym i tym, poślubić tego i tego". To nie jest prawdziwa miłość. Miłość w wymiarze Krzyża wymaga zdolności do utraty dużej części siebie, do cierpienia za drugiego, do pełnego wspomożenia, a nawet do rezygnacji z własnej godności. Tragedią Chrystusa nie był rozmiar Jego cierpienia, gdyż cierpienie nie poddaje się hierarchizacji; Jego tragedią był fakt, że zabijali go ci, których kochał. To bezmiar psychicznej udręki. A jednak On im wybaczył. We mnie nie ma jeszcze takiej miłości, ale wierzę, że kiedyś Bóg mi ją da.

ODBYWAMY liturgię dwa razy w tygodniu. Pierwsza — to liturgia słowa, druga — liturgia eucharystii. Kiedy w trakcie rutynowej mszy ludzie przekazują sobie znak pokoju, pochylają głowy — my wymieniamy pocałunek. To o wiele silniej oddaje sens tego znaku. Podczas liturgii eucharystycznej spożywamy sakrament pod postacią chleba i wina. Zakładamy powrót do pierwotnego chrześcijaństwa. Stamtąd pochodzi nasza idea, nasze nazewnictwo, nasze wyznaniowe ryty. Mamy swoje pieśni, dużo tych pieśni. Są naprawdę wspaniałe. Nie towarzyszy im, jak w kościele ponura muzyka. Śpiewamy pełni spontanicznej radości, klaszcząc przy tym w ręce. Czytanie Pisma poprzedza u nas wprowadzenie. Po wysłuchaniu Słowa następuje chwila milczenia, a potem każdy może powiedzieć, co dane Słowo wniosło do jego życia, z którą z przedstawionych postaci identyfikuje się — z Łazarzem, z celnikiem? Nie jesteśmy Badaczami Pisma, a jednak wyrabiamy w sobie przyzwyczajenie, by w chwilach szczególnie trudnych sięgać do niego i czerpać zeń ukojenie. Przekonałam się, że to bardzo pomaga.

To dziwne, ale nasi katechiści zawsze wiedzą, co dzieje się we wspólnocie, choć nikt ich o tym nie informuje. Znają nasze kryzysy i załamania, nasze zwycięstwa i zwątpienia. Oni decydują, kiedy kończy się pierwsze scrutinium i zaczyna drugie. Czują, czy wspólnota dojrzała do kolejnego wtajemniczenia. To, co nam mówią w tym okresie, okryte jest ścisłą tajemnicą. Nie wolno dopuścić do niej ani młodszych braci, ani nikogo z zewnątrz. Mogę tylko powiedzieć, że wejście w drugie scrutinium było dla mnie wielkim przeżyciem, oznaczało zwrot na mojej drodze — stało się wielką niespodzianką.

W założeniu katechumenatu jest także apostolstwo. Ostatnio był nabór do głoszenia Słowa za granicą. Tam także objawiamy Chrystusa. Bracia z wyższych stopni chodzą po domach. Nie pragną jednak przekonywać ludzi jak świadkowie Jehowy. Upoważnieni przez prezbitera, oznajmiają jedynie nowinę: „Chrystus zmartwychwstał i zwyciężył śmierć".

My nie jesteśmy zwykłym ruchem. Czuwa nad nami prawica Boga. Na drodze były takie przypadki, że ojciec, któremu w wypadku zginęła żona i dzieci, klękał wśród tłumu ludzi i dziękował Bogu za to doświadczenie. Chodzi bowiem o to, by krzyż, który Bóg nam daje, był krzyżem chwalebnym. Kobieta, której syn wbrew zaleceniom lekarzy objawił, iż jest nieuleczalnie chora, czekała na śmierć w pokoju, choć obok niej wyły z bólu inne kobiety. Dzieci, które przychodzą z rodzicami na konwiwencję, nawet te dwu-, trzy- czy czterolatki, są inne niż ich rówieśnicy spoza wspólnoty. Są bardziej pogodne, cierpliwe i ciche. Nie widać w nich egoizmu, gdyż nie otacza ich miłość drapieżna.

Droga odmienia ludzi. Dlatego liczba wspólnot rośnie. Funkcjonują już na Królewskiej, na Bronowicach, na „Poczekajce". Zwiększa to szanse na uzdrowienie nie tylko poszczególnych jednostek, ale również tego kraju, który jest moralnie podupadły.

NIE do końca jestem jeszcze szczęśliwa, nie ma we mnie jeszcze prawdziwej wiary, a jednak osiągnęłam spokój, zrozumiałam swoje „ja", mam więcej światła na życie i pogody na cierpienie, które musi towarzyszyć życiu. Nie ma innej drogi poznania prawdy. Powrót do prostoty i przywrócenie sensu podstawowym wartościom to jedyna szansa na odnalezienie zagubionego człowieczeństwa.

Zapisał: Wiesław Horabik

PS. Wysłuchałem wyznania dziewczyny z tzw. wspólnoty neokatechumenicznej, nurtu coraz bardziej rozprzestrzeniającego się w Kościele katolickim, a głoszącego ideę „powrotu do korzeni". Zachowałem oryginalną retorykę tej wypowiedzi, by silniej uwidocznić ukrytą w niej pasję.

W. H.

„TEN EKSKOMUNISTA, FAŁSZYWY POTOMEK ATAMANÓW, W MARZENIACH SYN DZIEDZICA..."

ŻYWOT JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO (6)

Józef Zięba

„ZDAJĘ sobie sprawę — napisał Łobodowski we wstępie do »Złotej hramoty« — że niejeden z wydrukowanych tu utworów jest słaby poetycko, ale nie chciałem z nich rezygnować, gdyż chodziło mi o to, by »Złotej hramocie« nie brakowało żadnej karty, choćby zapisanej w pośpiechu, piórem bardziej publicysty niż poety".

W zacytowanym wyznaniu ujawniają się dwie natury Józefa Łobodowskiego. Był on w równej mierze publicystą, jak i poetą. Kiedy nie miał możliwości wyżycia się w publicystyce, wówczas wprowadzał aktualną problematykę, często z nie najlepszym skutkiem artystycznym, do swoich wierszy.

W połowie lat pięćdziesiątych spróbował sił jako powieściopisarz. W roku 1955 wydał w Londynie pierwszy tom trylogii opartej na wspomnieniach z dzieciństwa i pobytu na Kaukazie w czasie rewolucji wśród Kozaków kubańskich. Tom nosi tytuł „Komysze", następny — „W stanicy" — został wydany w roku 1958, a ostatni — „Droga powrotna" — ukazał się w Londynie w 1961 roku. W cztery lata po ukazaniu się trylogii rozpoczął druk tetralogii pod ogólnym tytułem „Żywot Józefa Zakrzewskiego", obejmującej następujące tytuły: „Czerwona wiosna", Londyn 1965; „Terminatorzy rewolucji", Londyn 1966; „Nożyce Dalili", Londyn 1968 i „Rzeka graniczna", Londyn 1970. W tym cyklu poeta wykorzystał swoje wspomnienia z bujnych i burzliwych lat lubelskiej młodości.

Pod względem artystycznym proza Łobodowskiego nie dorównuje poezji. Na szczęście, pisząc powieści, nie zaniechał twórczości poetyckiej. Po wymienionych uprzednio, ukazywały się co kilka lat kolejne jego tomy wierszy: „Kasydy i gazele", Londyn 1961; „Jarzmo kaudyńskie" Londyn 1969; „W połowie wędrówki", Londyn 1972; „Dwie książki", Paryż 1984; „Mare Nostrum", Brooklyn 1987; „Pamięci Sulamity", Toronto 1987; „Rachunek sumienia", Paryż 1987; „Dytyramby patetyczne", Londyn 1988 r.

Znamienne jest, że najwięcej książek poetyckich Łobodowskiego ukazało się pod koniec życia autora. Ciągle nie tracił mocy twórczej. Był nawet świadom, że jest to dla niego najowocniejszy okres. W 1972 roku, kiedy przekroczył już sześćdziesiątkę, zatytułował nowy tom swoich wierszy — „W połowie wędrówki". Tytuł ten w nocie „Od autora" skomentował w sposób następujący: „Po prostu wydaje mi się — ba, często jestem całkowicie pewien — że jeżeli pożyję jeszcze kilkanaście lat, zdobędę się na znacznie większe od dotychczasowych osiągnięcia. Czas pokaże, czy właściwie oceniłem swoje możliwości, czy też to tylko optymistyczne złudzenie".

Czas potwierdził prawdziwość tego przypuszczenia. Pisarz wydał jeszcze sześć chyba najlepszych swoich książek poetyckich. Nie przerywał jednocześnie współpracy niemal ze wszystkimi emigracyjnymi czasopismami, publikując na ich łamach liczne artykuły, recenzje i felietony. Już po śmierci poety w wychodzącym w Chicago tygodniku „Gwiazda Polarna" 28 maja 1988 r. ukazało się jego obszerne omówienie księgi „Lublin literacki".

Oprócz uprawiania twórczości oryginalnej Łobodowski dużo tłumaczył z języka rosyjskiego, ukraińskiego i hiszpańskiego. Wydawca tomu „Rachunek sumienia", który ukazał się na rok przed śmiercią poety, informował, iż: „Ma przygotowane do wydania antologię poezji hiszpańskiej, a także dwutomową antologię poezji ukraińskiej, od »Słowa o pułku Igora« po dzień dzisiejszy, antologię poezji białoruskiej oraz antologię poezji rosyjskiej (od Rylejewa do Mandelsztama)".

W wywiadzie udzielonym Irenie Szypowskiej, zamieszczonym w 6 numerze „Poezji" z roku 1988, poeta wspomina jeszcze o przygotowanym do druku tomie „Droga do Tobozo", zawierającym wiersze o Hiszpanii i antologię poezji hiszpańskiej, oraz o powieści historycznej z XVI wieku poświęconej hiszpańskiej wojnie domowej w Peru.

Wydawca paryski, Piotr Jegliński, zachęcił poetę do spisania wspomnień. Łobodowski do końca życia nad tomem tym pracował. Można się więc spodziewać, że wkrótce ukażą się jeszcze dalsze książki autora „Rachunku sumienia". Zapewne wiele bardzo interesujących szczegółów dotyczących jego biografii przyniesie tom wspomnień, z którego fragmenty opublikowano już w emigracyjnej prasie.

MIMO tak bogatego dorobku twórczego do chwili obecnej nie ukazał się w kraju nawet najskromniejszy wybór wierszy Józefa Łobodowskiego. Były dwa istotne powody takiego stanu rzeczy.

Do listopada 1980 roku obowiązywał w PRL tzw. „zapis" cenzury na nazwisko Łobodowskiego, spowodowany m.in. opinią, którą sformułował 28 marca 1956 roku Andrzej Kuśniewicz w „Biuletynie Rozgłośni »Kraj«" w artykule „Ataman, dziedzic czy po prostu faszysta". Kuśniewicz zakończył swój artykuł następującym stwierdzeniem: „Ten ekskomunista, fałszywy potomek atamanów (urodził się na Białorusi), w marzeniach syn dziedzica (ojciec jego był urzędnikiem), jest jedynie byłym sanacyjnym agentem i faszystą". Opinia taka funkcjonowała niemal do końca życia poety.

Z drugiej strony Łobodowski też nie był skłonny do publikowania swoich książek w Polsce Ludowej, uważając to za zdradę wyznawanych idei. Po wydaniu w kraju wyboru wierszy Mariana C[illegible]wskiego napisał: „[...] dał się złapać [illegible] wędkę mętnych obietnic i poszedł na współpracę z warszawskim reżymem i jego placówkami". („Tydzień Polski", Londyn 1979, nr 11).

Krajowi wydawcy znający postawę poety i stanowisko cenzury nie podejmowali prób przełamania barier, uprzedzeń i oporów. Moja np. oferta opracowania wyboru wierszy Łobodowskiego złożona wydawcy 20 XI 1980 roku spotkała się z następującą odpowiedzią: „[...] w czasie najbliższych kilku lat Wydawnictwo nie widzi możliwości wydania zbiorku ze względu na dużą ilość inicjatyw przyjętych już do realizacji". Nie jest pewne, czy poeta wyraziłby wówczas zgodę na wydanie wyboru swoich wierszy, ale stosunek Łobodowskiego do inicjatyw podejmowanych w kraju, obejmujących jego twórczość literacką, znacznie się zmienił. Kiedy w maju 1981 roku, po zorganizowaniu w Muzeum J. Czechowicza wieczoru poezji Józefa Łobodowskiego, wysłałem mu afisz, zaproszenie oraz informację o przebiegu imprezy bardzo się tym ucieszył. W odpowiedzi przysłał mi list, który warto tu przytoczyć:

„Wielce Szanowny Panie! Dziękuję za list i dołączone materiały. Nie potrzebuję zapewniać, że urządzenie tego wieczoru sprawiło dla mnie wielką niespodziankę. Wiedziałem, naturalnie, że w kraju w ciągu ostatnich kilku miesięcy wiele się zmieniło, ale nie przypuszczałem, że aż tak bardzo. Listu od siostry jeszcze nie otrzymałem — poczta jest ostatnio bardzo powolna. Albo weszły w grę jakieś inne czynniki.

Pyta Pan o moje plany literackie. Wydawnictwa emigracyjne robią bokami, z tej prostej racji, że emigracja wymiera w coraz szybszym tempie i nikt tego procesu nie zatrzyma. Z powodu stałego deficytu znikły londyńskie »Wiadomości«, a wkrótce poznikają także inne czasopisma. To dlatego niczego nie wydałem od jesieni 1972 roku, a więc prawie od dziesięciu lat. Mam sporo rękopisów, których starczyłoby na kilkanaście tomów (wiersze, proza, przekłady), ale o wydaniu na emigracji tego wszystkiego można jedynie marzyć. Chętnie wyślę Panu fotokopię dwóch tomów: »Kasydy i gazele«, 1961 i »Jarzmo kaudyńskie«, 1969, ale to wymaga nieco czasu. Byłbym wdzięczny za przesłanie mi kopii prelekcji dr. Kryszaka oraz spisu czytanych wierszy. Najlepsze życzenia. Józef Łobodowski. Madryt, 26 maja 1981".

Niestety, ze względu na sytuację, jaka się wytworzyła przed i po wprowadzeniu stanu wojennego, na wysłany list nie otrzymałem odpowiedzi. Moja korespondencja z poetą na kilka lat została przerwana. Wznowiłem ją w 1987 roku, proponując Łobodowskiemu przekazanie do zbiorów Muzeum J. Czechowicza jego archiwum literackiego. Otrzymałem na tę propozycję następującą odpowiedź:

„Wielce Szanowny Panie! Dziękuję za Pański łaskawy list z 14-go grudnia ub.r. Naturalnie, spełnię Pańskie życzenie, choć w tej chwili nie wiem, jak i kiedy będę mógł to uczynić. Może zechce Pan skontaktować się z moją starszą siostrą i jej rodziną. Wszyscy przebywają w Lublinie. Władysława Tomankowa mieszka przy ulicy Parysa 22. Jest chora, nie wychodzi z domu. Proszę ją odwiedzić. Otrzymałem wiadomość, że w miesięczniku »Poezja« mają ukazać się jakieś moje teksty. Będę wdzięczny za utrzymanie kontaktu ze mną. Najlepsze życzenia. Józef Łobodowski. Madryt, 8-lutego, 1988-go roku".

DALSZĄ korespondencję przerwała śmierć poety, która nastąpiła po krótkiej chorobie 18 kwietnia 1988 roku. Zgodnie z wolą zmarłego, ciało jego zostało poddane 21 kwietnia kremacji. Cytuję fragment relacji z tych smutnych uroczystości pióra Tadeusza Filipowicza („Dziennik Polski" z 28 IV 1988 r.):

„Mimo szczupłości kolonii polskiej w Madrycie, kaplica krematorium wypełniona była do ostatniego miejsca. Oprócz najbliższych przyjaciół i wieloletniego opiekuna poety, Kazimierza de Tylko, który zajął się organizacją uroczystości pogrzebowych, z ramienia rządu RP na Uchodźstwie przybył jego delegat na Hiszpanię Piotr Potocki, z Londynu — bliski przyjaciel poety Marian Łysakowski, z Editions »Spotkania« i Księgarni Polskiej w Paryżu — Piotr Jegliński z żoną, a jako przedstawiciel Ukraińców — prof. dr Teodor Barabasz Seniw.

Mszę św. pogrzebową odprawił mgr. Marian Walorek, rektor Polskiej Misji Katolickiej w Hiszpanii. Zgodnie z wolą Zmarłego, prochy jego mają być przewiezione do Polski i pochowane w grobie jego matki w Lublinie. Powierzono mi przewiezienie urny z prochami Łobodowskiego do Londynu.

Ograniczenie w czasie nie pozwoliło na wygłoszenie mów pożegnalnych w kaplicy; hołd poecie złożono tego samego dnia wieczorem w mieszkaniu prał. Walorka. Od lat odbywają się tam co dwa tygodnie spotkania pod nazwą »O wieczornej godzinie«, w których Józef Łobodowski regularnie uczestniczył — jego nieobecność została zaakcentowana wiązanką biało-czerwonych kwiatów złożonych na pustym fotelu. Pierwszą część spotkania poświęcono pamięci Łobodowskiego.

Przed spotkaniem Kazimierz Tylko zaprowadził nas do »Hermanos Portillo«, kawiarenki Łobodowskiego, gdzie przy narożnym stoliku pisał on niemal wszystko, co w ostatnich latach ukazywało się w druku. Przy szklance czerwonego wina p. Tylko wspominał przyjaciela, który stał się członkiem jego rodziny, mówiąc o jego kłopotach i cierpieniach.

Następnego dnia wraz z p. Tylko, dr. Sokołowskim, Marianem Łysakowskim i Piotrem Jeglińskim dokonaliśmy likwidacji mieszkania i uporządkowania osobistych papierów poety. Maleńki, spartański w swojej prostocie pokoik Łobodowskiego był dowodem, w jak skromnych warunkach spędził ostatnich kilkanaście lat życia: wąskie łóżko przy ścianie, szafa, miniaturowy stolik zawalony gazetami i papierami, stara maszyna do pisania z rozpoczętym artykułem do »Tygodnia« o gen. Sosnkowskim...

Maszynopis ostatniej części przygotowanych do druku w Ed. »Spotkania« wspomnień Łobodowskiego zabrał Piotr Jegliński. Mojej opiece powierzono dokumenty.

Zbliżał się czas odlotu do Londynu. Panowie Tylko i Jegliński odprowadzili mnie do taksówki, gdy naraz, pod wpływem impulsu, Kazimierz Tylko zaprosił nas na ostatnią szklankę wina. Tuż obok, w małej restauracyjce, postawiliśmy urnę na stoliku, zamówiliśmy cztery szklanki wina, zwykle zamawianego przez Łobodowskiego jako »tracheta«, i tak pożegnaliśmy ostatniego wielkiego poetę emigracji".

W CZERWCU ub.r. przebywał w Londynie dyrektor Biblioteki KUL, p. Andrzej Paluchowski. Od byłego prezydenta emigracyjnego rządu polskiego otrzymał do przekazania list następującej treści:

„Magnificencjo, Przewielebny Księże Biskupie,

Jako przyjaciel i w pewnej mierze opiekun ś.p. Józefa Łobodowskiego, zwracam się z prośbą, aby Ksiądz Biskup, jako Rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, zechciał objąć patronat nad ceremonią godnego pogrzebu wielkiego poety w Lublinie w grobie Jego Matki, jak to było życzeniem Zmarłego.

Korzystam ze sprzyjającej okazji pobytu w Londynie, p. Andrzeja Paluchowskiego, który gotów jest przewieźć do Polski urnę z popiołami ś.p. Józefa Łobodowskiego.

Wdzięczny byłbym Magnificencji za wyrażenie zgody na zorganizowanie ostatniej posługi Zmarłemu.

Łączę wyrazy czci i poważania. Edward Raczyński".

Pod koniec czerwca urna była już w Lublinie, jednak ze względu na okres wakacji pogrzeb wyznaczono na październik.

W sierpniu przybyła z Madrytu do Lublina p. inż. Jadwiga Ostrowska z adresowanymi do mnie listami od panów Piotra Potockiego Radziwiłła i Kazimierza Tylko. Ten pierwszy cytuję w pełnym brzmieniu:

„Przekazując dla Muzeum Lubelskiego tych kilka drobnych, lecz ważnych pamiątek po ś.p. Józefie Łobodowskim, Synu i Piewcy Lubelskiej Ziemi, proszę o ich łaskawe przyjęcie, godne przechowanie i udostępnienie zainteresowanym Rodakom z pełnym przeświadczeniem, że taka byłaby wola Zmarłego, który nie zapomniał ani na chwilę, że swoim dziełem otwiera sobie i nam drogę do wolnej i ukochanej Ojczyzny. Madryt, 5 lipca 1988. Piotr Potocki Radziwiłł".

Wraz z listem Muzeum Czechowicza otrzymało następujące materiały: zdjęcie portretowe J. Łobodowskiego w formacie 40×50 cm, medal — Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie, Krzyż Polonia Restituta, Złoty Krzyż Zasługi, notatnik zawierający rękopisy J. Łobodowskiego, paszport poety, sześć wycinków prasowych, kserokopię dokumentu „Certificado medico de defuncion" oraz taśmę magnetofonową z nagraniem autorskich recytacji wierszy Józefa Łobodowskiego.

Dzięki poprzednim wieloletnim zabiegom oraz ostatnio otrzymanemu z Madrytu darowi Muzeum im. Józefa Czechowicza w Lublinie stało się chyba jedynym w kraju ośrodkiem dysponującym rękopisami i pamiątkami po Józefie Łobodowskim.

A oto fragment listu p. Kazimierza Tylko, najbliższego przyjaciela poety, zawierający bardzo cenne o nim informacje:

„Jeśli więc — jak Pan zaznacza — relacja o Łobodowskim może mieć znaczenie dla przyszłych Jego biografów, gotów jestem obszernie odpowiedzieć na najbardziej nawet drobiazgową ankietę na Jego temat, przygotowaną jednak przez kogoś kto życie Poety znał. Oceną bowiem Jego twórczości zajmować się będą specjaliści, mający do dyspozycji cały Jego dorobek literacko-publicystyczny. W nim jest Łobodowski pisarz-poeta-publicysta-historyk — pomost wschód-zachód-tłumacz i tyle jeszcze innych Jego specjalności. Ale to jeszcze nie Łobodowski-człowiek! I może tylko tym Jego aspektem mógłbym się na czyjąś prośbę zająć. Ale wielkie i ważne pytanie — cui bono? — musi być tu stawiane z wielką ostrożnością, bo Józiu był człowiekiem niezwykle trudnym, a to trzeba albo pominąć, albo serdecznie, ale szczerze, opracować.

Łobodowski żadnego archiwum po sobie nie zostawił, bo właściwie, co napisał, zostało ogłoszone albo oddane do druku. W Londynie istnieje specjalna Fundacja, zajmująca się tą sprawą, pod kierunkiem b. redaktorki londyńskich »Wiadomości«, pani Kossowskiej. »Papiery — jak te swoje szpargały Józiu nazywał — w razie mojej śmierci po prostu spal!« Tak mi to powiedział, a ja Jego woli nie wypełniłem i trochę nieuporządkowanych maszynopisów zabrano po pogrzebie z jego pokoju do Londynu i Paryża. Załączam opublikowane sprawozdanie.

Załączam kilka ważnych pamiątek po ś.p. Poecie: Jego emigracyjne, niestety, odznaczenia, paszport stwierdzający, że nigdy nie przyjął obcego obywatelstwa. Data Jego urodzenia jest w dokumentach hiszpańskich inna niż prawdziwa. Jest to wynikiem powojennych tarapatów: Polacy, którzy znaleźli się podczas wojny na terytorium Hiszpanii neutralnej, podlegali internowaniu, jeśli znajdowali się jeszcze w wieku służby wojskowej czynnej. Taki był stan Łobodowskiego i wielu innych uciekinierów, którzy przeszli przez Pireneje w drodze do polskich jednostek w Anglii, via Madryt (Barcelona), Lizbona. Polskie władze konsularne podwyższały więc wiek uciekinierów, by ich wyłączyć z internowania, na co Hiszpanie patrzyli z dobrotliwą pobłażliwością. Po wojnie jednak, z braku dowodów materialnych (metryk, dokumentów, etc.), nawrót do normalności dla obcokrajowców, nie ubiegających się o hiszpańskie obywatelstwo, był bardzo utrudniony. [...] no i wreszcie [przesyłam] taśmę z nagraniem recytacji kilku Jego poematów we własnym wykonaniu i z osobistym komentarzem. Historia tych nagrań jest prosta: w 1982-gim roku Łobodowski borykał się z trudnościami finansowymi, większymi niż Jego normalny stan, zawsze deficytowy. Wpadł mi do głowy pomysł tych nagrań, które sam poeta sprzedawał. Konfekcja jest b. chałupnicza, bo robiliśmy to u mnie na najbardziej amatorskiej radio-cassecie, więc wady są duże. Ale wszystko sprzedał i miał miesięczne utrzymanie zapewnione. Byle do wiosny! — w co bardzo wierzył.

Przesyłam te ostatnie już chyba pamiątki po Józiu na własną odpowiedzialność, ale po uprzedniej konsultacji z Komitetem, który się sprawą ostatniej posługi Zmarłemu zajmował..."

(cdn.)

Dr Józef Zięba, absolwent polonistyki KUL (1955), dyrektor Muzeum im. J. Czechowicza w Lublinie (od 1967 roku).

KOZIELSK, STAROBIELSK, OSTASZKÓW

Rozmowa z inż. Jędrzejem Tucholskim - historykiem amatorem

— Panie Jędrzeju. Znany jest pan jako specjalista od historii polskich skoczków spadochronowych, którzy w czasie ostatniej wojny zasilali szeregi Armii Krajowej. Trzecie wydanie pańskiej monografii „Cichociemni" niedawno błyskawicznie zniknęło z półek księgarskich. Kilka tygodni temu warszawski tygodnik „Zorza" jako pierwszy po wojnie w Polsce rozpoczął publikację listy oficerów polskich poległych i zaginionych w czasie II wojny światowej na terenie ZSRR, także w Katyniu. Autorem opracowania listy jest Jędrzej Tucholski. Skąd ta nagła zmiana zainteresowań?

— Istnieje kilka powodów, dla których zająłem się opracowaniem i publikacją listy. Nie jest to jednak równoznaczne ze zmianą zainteresowań. I nie stało się to nagle. Jestem osobiście zaangażowany emocjonalnie w sprawę Katynia. Na listach Czerwonego Krzyża, podających nazwiska rozpoznanych w grobach Katynia oficerów, wśród tysięcy innych figuruje też nazwisko mego ojca...

Poza tym przez długie lata mieszkałem w Rembertowie. To było „wojskowe" osiedle. We wrześniu 1939 r. większość mężczyzn wyruszyła stąd na wojnę. Wielu z nich nie powróciło. W obozach Kozielska, Starobielska, Ostaszkowa zaginęli mężowie moich nauczycielek, koledzy ojca, sąsiedzi. To chyba wystarczy, by mieć do całej sprawy stosunek osobisty.

W wydanej na emigracji pracy byłego więźnia Starobielska, mjr. Adama Moszyńskiego, „Lista katyńska. Jeńcy obozów Kozielska, Ostaszkowa, Starobielska więzieni w Rosji Sowieckiej" można znaleźć stwierdzenie, iż pełnej listy zaginionych nie da się odtworzyć bez uzyskania danych od ich rodzin, znajomych. Czas jednak jest nieubłagany i tych, którzy mogliby udzielić jakichkolwiek informacji, żyje coraz mniej. Uznałem, że jest to ostatni dzwonek, tym bardziej, że nikt oficjalnie działań takich nie podejmował. Komisja historyków polskich i radzieckich ma sprawę Katynia na warsztacie od maja 1987 r. i poza jednym enigmatycznym komunikatem z listopada 1988 r. nic nadal nie wiadomo, przynajmniej publicznie.

Jeśli są trudności z odnalezieniem choćby teczek personalnych internowanych, teczek sporządzanych skrupulatnie przez NKWD, i nie wiadomo, czy ich odnalezienie będzie kiedykolwiek możliwe, to należało przecież jak najszybciej starać się wykorzystać materiał, który mamy w kraju, niejako pod ręką.

— Na czym opiera pan swoją publikację? Jaka jest jej podstawa źródłowa? Bo jak sam pan stwierdził, nie ujawniono ostatnio żadnych materiałów archiwalnych, które mogłyby być pomocne w tego typu pracy.

— Bazę do publikacji listy zaginionych i poległych stanowią wykazy ekshumacyjne, publikowane jeszcze w czasie wojny przez Czerwony Krzyż, oraz istniejące już opracowania, wspomniana „Lista katyńska" Adama Moszyńskiego, książki Tadeusza Kryski-Karskiego czy też brytyjskiego historyka Louisa Fitzgibbona. Bibliografia tego typu prac, wydanych poza Polską, jest zresztą niezwykle obszerna, liczy bowiem blisko 300 pozycji.

Dane te, jak już powiedziałem, stanowią bazę, nie są one zbyt wyczerpujące. Wystarczy wspomnieć, że w trzech obozach internowanych było około 15 000 ludzi. Jak dotychczas, autorom wszystkich list udało się ustalić nieco ponad 10 000 nazwisk. Szczególnie duże luki dotyczą więźniów Ostaszkowa oraz funkcjonariuszy Policji Państwowej, Straży Granicznej i Straży Więziennej.

— Czy opublikowanie pierwszych wykazów zaginionych oficerów i żołnierzy spotkało się już z jakimś odzewem?

— W ciągu dwu tygodni od opublikowania pierwszego odcinka do redakcji napłynęło kilkaset listów. Podano w nich ponad 500 nazwisk, uzupełniając dane w przypadku osób już wcześniej figurujących w wykazach. Ale ponad 1/3 nazwisk była do dziś nieznana. Są to przede wszystkim nazwiska funkcjonariuszy Policji Państwowej. Muszę przy tym dodać, że codziennie nadchodzą nowe listy. Napływają dodatkowe informacje o obozach internowanych, przybywają nowe nazwiska. Czasami wynik takiej weryfikacji jest wręcz niespodziewany. Na liście katyńskiej, opublikowanej w 1943 r. i powielanej do dziś, znajduje się np. nazwisko jednego z dzisiejszych profesorów UW. Człowiek ten nie zginął!!!

— Czyli można podejrzewać, iż wykazy publikowane dotychczas były zafałszowane?

— Oczywiście, że nie. W żadnym wypadku takie twierdzenie nie odpowiada prawdzie. Proszę pamiętać, że w 1943 r. identyfikacji dokonywano pospiesznie, często na podstawie strzępów dokumentów, kopert z adresami czy też fotografii odnalezionych przy zwłokach. Czasem podstawą do podania nazwiska była znaleziona wizytówka. Znany jst przypadek, iż podczas ewakuacji z Warszawy Wojskowego Instytutu Geograficznego we wrześniu 1939 r. jeden z oficerów zabrał z biurka także dokumenty swego kolegi. Oficer ten został zamordowany w Katyniu, przy zwłokach znaleziono książeczkę PKO z nazwiskiem osoby żyjącej do dziś.

Należy jednak stanowczo podkreślić, że są to pojedyncze, niezwykle rzadkie przypadki.

— Podjął się pan gigantycznej pracy. Ilość materiału do weryfikacji, sam zakres przedsięwzięcia, to wszystko może być ponad siły jednego człowieka.

— Ależ jest to w dużym stopniu zbiorowy wysiłek. Z pomocą pospieszyły mi liczne środowiska zawodowe, które posiadają swoje komórki historyczne gromadzące materiały o martyrologii okresu 1939—1945. NOT dostarcza informacji o inżynierach i technikach, ZNP o nauczycielach. Posiadane przez siebie materiały udostępnia mi Związek Sybiraków, otrzymuję dane o zaginionych w ZSRR chirurgach, lotnikach i wielu innych.

— Jakie dane są niezbędne przy opracowywaniu takiego wykazu?

— Wszystkie, które mogą dopomóc w identyfikacji osoby. Imiona, nazwisko, stopień wojskowy, przydział, zawód cywilny — są to dane ułatwiające, a często wręcz umożliwiające pracę przy opracowaniu listy zaginionych. Oczywiście pożądane są też informacje o tym, kiedy i z jakiego obozu nadchodziły do rodzin listy lub telegramy, kiedy dany człowiek dostał się do niewoli.

Apeluję, gdyby ktokolwiek miał coś do powiedzenia na temat zaginionych na terenie ZSRR w latach 1939—1941 członków rodzin, znajomych, by był łaskawy przesłać wszystkie możliwe posiadane informacje pod adresem tygodnika „Zorza", Warszawa, ul. Mokotowska 43.

— Jaki jest spodziewany końcowy efekt pańskiej pracy?

— W drugiej połowie sierpnia planujemy zakończyć druk listy w „Zorzy". Potem oczekiwać będę na wszelkie uzupełnienia i po weryfikacji materiału zamierzam całą listę opublikować w formie książkowej. Zdaję sobie przy tym sprawę, że nadal będzie to niestety opracowanie niepełne. Będzie ono jednak wyrazem pamięci o tych, którym nie było dane przeżyć.

— Dziękuję panu za rozmowę. Pozostaje wyrazić nadzieję, że ów zbiorowy wysiłek, o którym pan wspominał, da pożądany efekt, że będzie stanowił bodziec do prac prowadzonych na szczeblu komisji historyków, że będzie wreszcie wypełnieniem kolejnej „białej plamy".

Rozmawiał: **Andrzej P. Przemyski**

STALINIZM?

W TOCZĄCEJ się dyskusji na temat istoty i charakteru stalinizmu odnotować należy głos ważny. Jest nim wypowiedź Bronisława Łagowskiego (historyka filozofii UJ związanego z krakowską „Kuźnicą" i „Zdaniem") dla „Przeglądu Tygodniowego" (numer 4 z br.). Z obszernej, liczącej kilkanaście stron maszynopisu wypowiedzi najistotniejsze wydają się następujące fragmenty.

„Słowo stalinizm nie należy do mojego słownika. Zastanówmy się bowiem przez chwilę, czy coś takiego jak stalinizm w ogóle istniało. Wyraz kończy się na »izm«, a więc wygląda na termin ogólny, albo nazwę jakiejś teorii. Tymczasem Stalin nie wymyślił żadnej teorii, wszystko, co pisał, było świadomie utrzymane w granicach tego, co wcześniej wymyślili jego mistrzowie. Teorie i poglądy, jakie on wyznawał, mają swoje nazwy i każdy je zna. Dlaczego ukrywać je pod zasłoną stalinizmu [...]

Z punktu widzenia klasycznej typologii ustrojów politycznych władza Stalina była tyranią. Tyrania zaś, jak słusznie twierdził Arystoteles, nie jest właściwie ustrojem. Ustrój taki czy inny posiada jakieś powszechnie obowiązujące zasady, tymczasem tyrania nie uznaje zasad [...]

Monstrualność tego państwa polegała na tym, że chciało być ono identyczne ze społeczeństwem. I prawie było. Na tej właśnie identyczności państwa i społeczeństwa polega totalitaryzm...

[...] totalitaryzm wywodzi się z pewnego sposobu widzenia świata i z pewnych ideologii wypracowanych wspólnym, twórczym wysiłkiem paru pokoleń postępowej inteligencji europejskiej XIX i XX wieku. Tego nie wymyślił ani Stalin, ani Mołotow, ani wojsko, ani milicja. Żeby totalitaryzm był możliwy, trzeba było przedtem ustalić jako pewnik, że państwowe planowanie jest lepsze od wolnego rynku, że ludzie udzielający moralnych pouczeń powinni mieć władzę nad tymi, co mają towar do sprzedania, że wreszcie człowiek taki, jakim stworzył go Pan Bóg lub ewolucja, jest nieprawidłowy i trzeba stworzyć Nowego Człowieka. Nie wymyślili tego również robotnicy. Totalitaryzm to dzieło inteligencji, a dokładniej mówiąc półintelektualistów".

(m)

BYŁY TEŻ PIĘKNE DZIEWCZĘTA

Andrzej W. Pawluczuk

STANISŁAW Baj nie jest jeszcze artystą wybitnym, ale ma wszelkie dane, aby nim zostać. Najpierw dlatego, że maluje takie obrazy, na których widać to samo, co istnieje w rzeczywistym świecie. A wbrew pozorom, nie jest to wcale łatwe. Wystarczy zajrzeć do pierwszej lepszej galerii czy sklepu z obrazami, by stwierdzić, że chociaż minęła moda na abstrakcję, malarze w dalszym ciągu mają trudności z namalowaniem konia, człowieka i drzewa takimi, jakimi są naprawdę. Nie tylko, że nie umieją poradzić sobie z odwzorowaniem rzeczywistego kształtu przedmiotu, to mają jeszcze kłopoty z dobraniem odpowiednich kolorów.

Zaprzyjaźniony artysta odpowiedział mi na to, że jest to wina nie malarzy, ale kiepskich farb krajowej produkcji. Malują dobrze tylko farby zachodnie, a te, ponoć, bywają rzadko i są na dodatek piekielnie drogie. Ale ja w to nie wierzę od jesieni ubiegłego roku, kiedy to prawie wszystkie okna wystawowe na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie obwieszone były obrazami namalowanymi przez szkolną dziatwę. Te obrazki przedstawiające w większości ojczystą przyrodę i sporządzone za pomocą akwarelek krajowej produkcji, były żywe, przekonujące i namalowane z niezwykłym wyczuciem światła i barwy. Patrzyłem na nie z prawdziwą przyjemnością, ponieważ ptak był tam ptakiem, ryba — rybą, a ściek — ściekiem. A zatem tylko kiepski artysta usprawiedliwia się swoją własną oryginalną wizją świata wówczas, gdy widz nie wie, co dany obraz przedstawia. I artysta powiada wtedy: „Ja to tak widzę", ale — wierzcie mi — jest to najzwyklejszy wykręt.

Dlaczego tak sądzę? Otóż dlatego, że skoro może dziecko, to powinien móc także artysta zawodowy, którego kompetencje potwierdza dyplom wyższej uczelni. Ale on nie może. Z jakiej przyczyny? Ponieważ patrzy na świat przez pryzmat stylów, kierunków, tendencji i różnych „izmów". Zanim więc spojrzy na wazon z kwiatami, on wie już, jaki powinien być ten wazon w wykonaniu kubisty, jaki jest wazon impresjonistyczny, a jaki np. hiperrealistyczny. Dziecko reaguje inaczej i na tym polega owa nieuchwytna magia dziecięcego malarstwa. Ono maluje po prostu to, co widzi, i w tej prostej intuicji zawiera się wielkie odkrycie filozoficzne: skoro każdy człowiek jest inny, każdy zatem postrzega świat inaczej. Dziecku zatem niepotrzebne są żadne „izmy", aby było odkrywcze. Ono jest odkrywcze dzięki swojej spontaniczności, braku zahamowań, świeżości. Można by to nazwać odrzuceniem interpretacji przedmiotu na rzecz jego intuicyjnego uchwycenia. Ale nie bądźmy śmieszni i przemądrzali, gdyż dziecko maluje, po prostu, po swojemu, jak widzi i czuje, i jakby nie było przed nim tego ogromnego balastu, który spoczywa we wszystkich muzeach świata.

I w takiż sam sposób postępuje genialny artysta: on nie zważa na to, jak malowano przed nim, ale maluje po swojemu. I jeżeli jest to odkrywcze, świeże i piękne (tak, tak!, bo sztuka musi być piękna), znajdują się natychmiast setki i tysiące naśladowców, którzy w swojej masie tworzą następnie styl czy kierunek (terminologię zostawmy teoretykom).

TAKIM właśnie artystą, który nie zważa na to, co znajduje się w muzeach, jest Stanisław Baj i dlatego, jak rzekłem, ma on wszelkie dane, aby zostać malarzem wybitnym. Dochodzimy w ten sposób do przekonania, że to, co nazywa się „wybitnością", jest sprawą przede wszystkim duszy, osobowości, charakteru i odwagi, nie zależy zaś od umiejętności, które można posiąść drogą ćwiczeń i naśladowania innych. Ale zanim odpowiem na pytanie: jaka jest dusza artysty Stanisława Baja, zatrzymam się chwilę przy jego obrazach, bo przecież od nich zaczęła się moja przygoda z tą fascynującą sztuką.

Baj maluje przede wszystkim ludzi i trochę, troszeczkę krajobrazów. Wzorem dawnych mistrzów, i jest to jedyna nić łącząca go z muzeami, maluje ludzi konkretnych, znanych z nazwiska i miejsca zamieszkania, a jego krajobrazy również przedstawiają konkretne punkty na mapie. Maciej Falkiewicz, uważany w Białej za „pierwszy pędzel Podlasia", powiedział mi o tym malarstwie, że jest ono „takie bardzo polskie". Należy przez to rozumieć autentyczność tej sztuki, jej namacalne osadzenie w realiach, jej dosłowne (niemal jak fotografii) odniesienie do konkretnego miejsca.

Przypomina się tutaj cała tradycja polskiego malarstwa, począwszy od naszego wynalazku, jakim był w XVII wieku portret trumienny, po najwy-

„POLESIA CZAR", CZYLI NIECO SENTYMENTALNA PODRÓŻ NA WSCHÓD

Dokończenie ze str. 1

ctwa i hojności Radziwiłłów oraz misjonarskich zapędów jezuitów wzniesiony w 1635 r. — jeszcze brutalniej i zupełnie bezmyślnie w latach pięćdziesiątych XX w. zakończył swój żywot. Zniszczony nieco podczas II wojny światowej, został wysadzony w powietrze, dzieląc w ten sposób los wielu zabytków sakralnych w kraju „zwycięskiego ateizmu". Dzisiaj w miejscu gdzie stał niegdyś kościół Jezuitów, znajduje się centralny plac Pińska z pomnikiem wodza rewolucji na tle ocalałego, na szczęście Jezuickiego Kolegium. Tak symbol zastąpił symbol. Tak historia osadza swe warstwy.

Cerkiew Świętej Barbary to, dla odmiany, widoczny ślad ekspansji carskiego prawosławia. Na szczycie XVII wiecznego kościoła Bernardynów przysiadła bizantyńska kopuła, nieudolnie i jakby wstydliwie usiłująca przywłaszczyć wschodowi budowlę jaskrawie katolicką.

Niezmieniona pozostała główna ulica Pińska, kiedyś zwana Wielką, w okresie międzywojennym Kościuszki, a obecnie Lenina. Pozostały też fragmenty przedwojennego, zapyziałego, kresowego miasteczka, wypierane przez dosyć schludne współczesne budynki. Natomiast do przeszłości przeszły pińskie synagogi.

Te zabytki, które przetrwały wszystkie historyczne awantury, mają się dobrze. Bądź, jak Kolegium Jezuickie, są remontowane (z przeznaczeniem na Muzeum Polesia), bądź, jak piękny kościół franciszkański, są w znakomitym stanie. W tym pięknym, zbudowanym na przełomie XVI i XVII wieku kościele przebywał podczas swojej wizyty w ZSRR prymas Polski kardynał Józef Glemp. Pińczanie nieraz mnie o tym wydarzeniu — nie bez satysfakcji, że to właśnie u nich — informowali. Echa tej wizyty, a stykałem się wyłącznie z ludźmi nie mającymi z katolicyzmem nic wspólnego, były pełne sympatii i zaciekawienia. Być może wizyta ta ma jakiś wpływ na przebudzenie się prawosławnej religijności? Mówiono mi, że w wielu miejscowościach puste dotychczas świątynie nie mogą dzisiaj pomieścić wiernych. Coraz więcej młodych ludzi bierze podobno ślub w cerkwi, a dzieci z reguły są chrzczone. Może to już bezpowrotna przeszłość te czasy, w których święty obrazek „przemycany" z Polski był najdokładniej chowany przed wzrokiem celników?

JEST wigilia Bożego Narodzenia. W Pińsku i w wielu okolicznych wsiach mieszkają katolicy. Większość wiernych przyjdzie do pofranciszkańskiego kościoła na Pasterkę, aby uczestniczyć w powtórnych narodzinach Chrystusa. Będą to przeważnie Polacy. Będą śpiewać kolędy nie w Polsce, a przecież nie na obczyźnie. Prawosławny Chrystus narodzi się za dwa tygodnie, ale wszyscy pińczanie wiedzą, że dzisiaj jest „polskoje Rożdżestwo". Być może Polacy będą przy świątecznych stołach gościć swoich białoruskich przyjaciół. O takich zwyczajach opowiadała mi, przejazdem przebywająca w Pińsku mieszkanka pobliskiego kołchozu, gdzie mieszkają i Polacy i Białorusini. Dla niektórych Chrystus narodzi się w tym roku dwa razy.

Boże Narodzenie spędzi w Pińsku wielu przyjezdnych z Polski. Wykorzystują w ten sposób dni wolne od pracy, a także chcą zdążyć, z telewizorami i innymi dobrami, przed zmianą przepisów celnych zapowiedzianą przez władze radzieckie. Pińsk przeżywa więc najazd Polaków. Spotykam także mieszkańców Lublina i Lubelszczyzny. Widzę samochody z lubelską rejestracją. Piński bazar pęka w szwach. Przelewają się przez stragany towary przywiezione z Polski: odzież i buty, tureckie dżins i japońskie kasety magnetofonowe, kosmetyki i żyletki, słodycze i alkoholomierze, kawa „Inka" i chińska jaśminowa herbata. Niesłychana obfitość i różnorodność przywiezionego z Polski obuwia i zimowych kurtek ostro kontrastuje z pustynnym krajobrazem w polskich sklepach.

W Pińsku jest podobnie. W sklepach nie ma nic, co by się dało wywieźć do Polski. Jedynie prywatne „magaziny" oferują poszukiwane dobra. Co chwila podchodzą młodzi operatywni ludzie i proponują odkurzacze i sokowirówki, grzejniki olejowe i złoto, wiertarki i aparaty fotograficzne. Oczywiście wszystko to za cenę daleką od detalicznej. Tajemnice tego handlu są często niepojęte. Jak bowiem zrozumieć popyt na marne tureckie dżinsy, kiedy w sąsiednim sklepie wiszą znacznie lepsze i w dodatku tańsze (100 rubli) dżinsy austriackie i włoskie? De gustibus...

Oprócz towarów z Polski — wełna i wyroby z wełny sprzedawane przez skośnookich Kazachów, kiełbasy, szynki, salcesony, kurczaki i indyki przywiezione z pobliskich kołchozów (ceny umiarkowane), konserwy rybne (drogie, ale bardzo dobre), sprzedawane wprost z samochodu, a wyprodukowane przez spółdzielnię rybacką z Kaliningradu. Mało warzyw i owoców.

NA bazarze dominują jednak Polacy. Sprzedają bardziej agresywnie, zachęcają, kuszą, zależnie od zainteresowania zmieniają ceny. Zaprawieni na bazarach całej Europy, wyraźnie znajdują przyjemność w samym sprzedawaniu. Czasami handlują nawet między sobą — za złotówki, za ruble lub na wymianę. Można kupić np. buty, których nie znajdzie się w naszych sklepach. Mieszkańcy Pińska mniej się targują. Widocznie gorzej znają bazarowe zwyczaje. Ceny zwykle akceptują i kupują, lub nie. Czasami tylko pogrymaszą, że ceny zbójeckie. Są jednak tacy, dla których bazar jest stałym miejscem zakupów i oi są zaprawieni w handlowaniu z Polakami. Targują się, czyhają na tych, którzy wkrótce wyjeżdżają i, aby pozbyć się resztek towaru, sprzedadzą taniej. Wszyscy są raczej życzliwi dla przyjezdnych z Polski. Ostrzegają przed złodziejstwem, przed sprzedawcami fałszywego złota. Czasami po prostu pogadają. Czasami pomogą coś sprzedać. Wielu z nich było w Polsce. Wielu ma w Polsce znajomych lub rodzinę.

Piękna Ukrainka kupuje chińską kurtkę i nie żałuje wdzięku, aby przekonać młodego Polaka do nieco niższej ceny.

Dwaj ziębnięci Polacy podgrzewają się wódką pitą „z gwinta", a jednocześnie sprzedają dzieciom gumy do żucia i lizaki, przemycone w hurtowych wręcz ilościach.

Jakaś elegantka narzeka na jakość kosmetyków przywożonych z Polski. Równie szykowna kobieta po drugiej stronie lady tłumaczy, że gdyby przywiozła tutaj kosmetyki francuskie, o które pyta wyfiutrzona mieszkanka Pińska, nie zarobiłaby na tym ani kopiejki.

Młodociany amator adidasów umyka goniony przez białorusko-polskie krzyki i starszego mężczyzny, który przyjechał do Pińska aż z Zielonej Góry.

Młoda dziewczyna zamienia zdjęty z palca złoty pierścionek na ładną zieloną kurtkę.

Przyglądam się życiu bazaru. Wsłuchuję się w jego odgłosy. Niegdyś Pińsk żył z handlu. Nabrzeża Piny pełne były czółen i bajdaków, a targowy wielojęzyczny zgiełk decydował o swoistości tego miasta. Dzisiejsze handlowe szaleństwo jest jakby echem dawnych dni. Ożywia to spokojne, prowincjonalne miasto. Wprowadza element ludzkiej różnorodności pomiędzy mury naznaczone różnorodnością epok, kultury i zamożności. Rozmowy: wielojęzyczny polsko-białorusko-rosyjski „rozhowor". Mam wrażenie, że tutaj, na bazarze, też dochodzi do jakiegoś istotnego porozumienia.

Pińczanie chętnie rozmawiają. Nie sposób jechać autobusem czy pociągiem i nie zawrzeć z kimś znajomości, z kimś nie pogadać, nie być zapraszanym do domu czy też na, tak trudno dostępną w czasach „suchowo zakonu", wódkę. Dialog toczy się na bazarach, w sklepach, na ulicy, w domach. Wielu tematów nie dałoby się nie tak dawno poruszyć, albo rozmowy skryłyby się nieśmiało w rodzinnych domach. Dzisiaj wylewają się na ulice.

W tych rozmowach kruszą się stereotypy, znikają uprzedzenia i spod przyczepionej komuś „gęby" wyłania się nieraz ludzka twarz. Zbliżają zarówno te o interesach, jak i długie nocne rozmowy — trudne, a niejednokrotnie bolesne. Rozmowy o wszystkim: o „Solidarności" o szansach i trudnościach „pieriestrojki", o polskim katolicyzmie i renesansie prawosławnej religijności, o trzęsieniu ziemi w Armenii i szokujących informacjach z



Fot. Waldemar Stępień

bitniejsze dokonania epoki Młodej Polski, która w sztukach plastycznych i architekturze ujawniła się ogromną różnorodnością i mnogością stylów oraz wybitnych indywidualności. A późniejszy, już w latach dwudziestych i trzydziestych, Stanisław Ignacy Witkiewicz i jego portrety oraz fotografie? Pierwszorzędne polskie malarstwo zawsze więc było jakby „obok" głównych nurtów europejskich, podążało (jak literatura) osobnym szlakiem, by dopiero po II wojnie światowej stracić swoją wyrazistą odrębność.

Ale wróćmy do Stanisława Baja, który przyznał mi się w rozmowie, że programowo odrzuca to wszystko, co przychodzi do naszej sztuki z zagranicy. Odrzuca zaś dlatego, że jest to, jak twierdzi — „wtórne", obce naszej tradycji i mentalności. Dlatego jest miłośnikiem literatury japońskiej i iberoamerykańskiej. Są to bowiem literatury ich własne, autentyczne, właśnie — prawdziwe, czyli takie, gdzie ujawnia się prawdziwa dusza danego narodu. Czy dlatego zatem artysta lubi malować wieś, że jest to ostatni zaścianek polskiej autentyczności? Pytanie to skomplikowane, spróbuję zatem odpowiedzieć na nie opisowo.

Jeżeli sztuka jest projekcją życia i ukrytych tęsknot, to autentyzm sztuki wyraża na pewno jakieś głębokie i zasadnicze pokłady duszy artysty. To prawda, że chętnie cofamy się do dzieciństwa, ale jeśli jest to tylko tęsknota za utraconą niewinnością, to mamy do czynienia wyłącznie z sentymentalizmem. Toteż w odniesieniu do malarstwa Stanisława Baja należałoby powiedzieć raczej o mocno zakorzenionej

Dokończenie na str. 10

Kuropat, o przebudzeniu się nacjonalizmów w ZSRR, o czarnobylskiej katastrofie, która tak mocno dotknęła obszar Polesia, a także o tym, co najświeższe i najbardziej piekące — o „internacjonalnym dołgu", który kazał młodym chłopcom z Białorusi umierać w dalekim Afganistanie.

Często rozmawiamy o związkach Pińska i Pińszczyzny z Polską. Ktoś ma rodzinę w białostockim, a ktoś w Polsce służył w wojsku. Mój rówieśnik był kilka razy w Lublinie, nieźle mówi po polsku. Kiedy się dowiaduje, że przyjechałem z Lublina, traktuje mnie jak starego dobrego znajomego i już po chwili nasza rozmowa spaceruje po Krakowskim Przedmieściu i lubelskim Starym Mieście.

ROZMOWY ważkie i codzienne. Niektóre zabawne, inne wywołujące zdziwienie, jeszcze inne skłaniające do zadumy nad wspólnym losem i pokrętnymi drogami historii. Na przykład poznany w autobusie starszy człowiek wspomina swoją przedwojenną służbę w 61. pułku piechoty, udział w pogrzebie marszałka Piłsudskiego. Wspomina z rozrzewnieniem, jak zwykle starzy ludzie wspominają lata swojej młodości. Jest jednak w tej opowieści jakaś cierpka nuta. Nawet czas nie wytarł pamięci o upokorzeniach, jakie go wówczas spotkały. „Poleszuk" znaczyło więcej niż „cham", gdyż „chamem" mógł być także polski katolik. Powtórnie został powołany do wojska w sierpniu 1939 r. Walczył w obronie Warszawy. Był ranny. Do dzisiaj utyka. Potem obóz jeniecki w Mińsku Mazowieckim — 10 dni bez jedzenia pod chłodnym wrześniowym niebem. Później powrót do Pińska — bez chwały, bez orderów, a nawet bez pewności, że walczył o własną sprawę.

Nieco później, już w Polsce, poznam mieszkańca Homla, który opowie mi o swoim dziadku, żołnierzu wojsk gen. Bułak Bałachowicza, białoruskich oddziałów walczących w wojnie polsko-radzieckiej po stronie Polaków. Oddział jego dziadka walczył skutecznie o Pińsk, co, jak sprawdziłem, miało miejsce 28 września 1920 r. Później, w II Rzeczypospolitej człowiek ten nie mógł dostać pracy na kolei, gdyż był wyznania prawosławnego. Na nic się zdały zasługi wojenne, które w pełni docenili dopiero funkcjonariusze NKWD, kiedy Armia Czerwona wkroczyła na teren Zachodniej Białorusi w 1939 r.

Rządy „pańskoj Polszy" pamiętający te czasy mieszkańcy Polesia kojarzą z biedą (chociaż później jej także nie brakowało), z nie rozwiązanymi kwestiami socjalnymi i nie spełnionymi aspiracjami narodowymi, a nade wszystko z czymś, co chyba zapomnieć najtrudniej — z pogardą. Świadomość ta nie jest bynajmniej wynikiem „komunistycznej indoktrynacji", tak jak radykalizacja poleskich chłopów w okresie międzywojennym nie daje się sprowadzić tylko do „sowieckiej infiltracji". Jest to raczej kulawy efekt polonizacyjnych usiłowań administracji i policji, Korpusu Ochrony Pogranicza i władz oświatowych, a szerzej — nie tylko nierozsądnej, ale wręcz samobójczej polityki, jaką wówczas na kresach prowadzono. Uczyniono wszystko, aby jedynym źródłem nadziei stał się stalinowski komunizm. Już wówczas przygotowywano powitalne bramy, które 17 września w wielu miejscach spotkały nową władzę. Tym większa tragedia tych ludzi, których los lub wybór związał z Polską.

Nie sposób oprzeć się refleksji, że przynajmniej powinno się pamiętać o niepolskiej krwi w polskich przelanej sprawach. Śpiewający przy kieliszku „Polesia czar", zanim ruszą na Kowno, czy Bóg wie gdzie jeszcze, powinni swoje słodkie kresowe tęsknoty okrasić odrobiną piołunu. Kiedy o tym wszystkim myślałem tam, w Pińsku, to nie mogłem nie czuć gorzkiej ironii, gdy naśladując polskie formy grzecznościowe, mówiono mi per „pan". Ciągle odczuwałem ciśnienie historii. Prowokuje ona do rozumienia wspólnych, niełatwych spraw. Wywołuje do tablicy i domaga się odpowiedzi.

I ZNOWU pińska ulica. Nowe czasy, nowe sprawy, inni ludzie. Dużo młodych ludzi. Ładne i często bardzo dobrze ubrane dziewczyny. Dziwi mnie, że mimo tak ciepłego grudnia wszyscy są opatuleni solidnie w szaliki i wbici w ciepłe, często futrzane czapy. Jeżeli widzę kogoś nieco rozchełstanego, z gołą głową, to jest to Polak lub Polka. Wszyscy gdzieś się spieszą, zajęci swoimi codziennymi sprawami. Ci ludzie to najczęściej potomkowie poleskich chłopów, o których dziewiętnastowieczna jeszcze anegdota mówiła, że chłop tutejszy zapytany „Z kul czełowiek?", zwykł odpowiadać: „Ja ny czełowiek, ja Pińczuk!" Pamiętam, że rodzice moi, nie mogąc się pogodzić z moją niegdysiejszą młodzieńczą skłonnością do hipisująco-niechlujnego stroju, twierdzili, że wyglądam jak „poleski mużyk".

Jeszcze przed wojną chłopi tutejsi, odcięci od cywilizowanego świata, rozrzuceni po bagnach, uchodzili za skrajnie biednych i zacofanych. Obszar Polesia rozdzielał wówczas żywioły emancypujących się Ukraińców i Białorusinów tamą bierności i nie rozbudzonych aspiracji narodowych. Większość mieszkańców Polesia deklarowało się jako „tutejsi" lub „Poleszucy". Dzisiaj uważają się najczęściej za Białorusinów. Być może zwyciężył tradycyjny związek Polesia z Białorusią. Być może mało ostentacyjna białoruskość najlepiej spełniała narodowe oczekiwania tutejszej ludności. A może dlatego, że tutaj, w Pińsku, mieszkał i pisał Konstancin Mickiewicz, znany pod pseudonimem Jakub Kołas. Jeden z tych pisarzy, którzy „chamską" mowę wprowadzili na pokoje literatury. Urodą tej mowy zachwycał się w dalekim Paryżu drugi Mickiewicz, Adam, a carski czynownik widział dla niej miejsce nie bliżej niż nad pięknym Jenisiejem czy modrą Leną.

Język, którym mówią w Pińsku, znacznie się różni od literackiej białoruszczyzny, którą zapewne mówił Jakub Kołas, pochodzący, podobnie jak autor „Pana Tadeusza", z Nowogródczyzny. Poddany wpływom języka ukraińskiego i rosyjskiego, wykształcił się w specyficzną poleską gwarę. Pińczanie zdają sobie sprawę z odmienności ich codziennego języka od „mińskiego wzorca", ale uparcie twierdzą, że jest to jeszcze język białoruski.

Niektórych niepokoi to jedynie, że poleska mowa rozpłynie się w języku rosyjskim, który przesiąka szorstki poleski język, zmiękcza go i przyciąga do języka centralnej moskiewskiej telewizji. Inni natomiast twierdzą, że poleska gwara nie poddaje się rusyfikacji i też mają swoje racje. Spotyka się Rosjan pochodzących z centralnej Rosji i — o dziwo — język ich wyraźnie ulega intonacji pińskiej ulicy. Było to słyszalne nawet dla mnie, nie uczonego w „tonkościach" słowiańskich języków.

Natomiast ponad wszelką wątpliwość przekonałem się, że Rosjanie niejednokrotnie ulegają urzekającemu poleskiemu patriotyzmowi lokalnemu. Sam o Pińsku i Polesiu najwięcej dowiedziałem się od Rosjanina pochodzącego z Wołogdy. Wiedział niemal wszystko o osobliwościach Pińska i przejęty był urodą Polesia, jak gdyby od wielu pokoleń był z tą ziemią związany. Twierdził, że genius loci poleskich błot sprawia, iż wszyscy czują się tutaj przede wszystkim Poleszukami, a dopiero później Białorusinami, Rosjanami czy Ukraińcami.

Ten lokalny patriotyzm to jakby echo odległych dni, kiedy Pińsk był stolicą oddzielnego księstwa, a brat Jagiełły, ochrzczony imieniem Wasilij, używał tytułu dux de Pinsco. Zadziwiające jest to silne przywiązanie mieszkańców Pińszczyzny do swojej ziemi. W naszych czasach, miotających ludźmi po różnych miejscach, czasach exodusów indywidualnych i zbiorowych, urzekające jest to poczucie zakorzenienia i związku ze swoją najbliższą, najintymniej znaną ojczyzną. Ktoś powie — prowincjonalizm. Być może jednak ten „prowincjonalizm" jest najlepszą odpowiedzią, chociaż może nieświadomą, zarówno na falsety nacjonalizmów, jak i fałszywe uniwersalizmy.

I ZNÓW ulica. I znów bazar. I znów twarze. I znów rozmowy, rozmowy. Także te podsłuchane. Na przykład ta usłyszana na bazarze w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Leciwa mieszkanka Pińska pyta ze zdziwieniem i nie bez oburzenia młodego Polaka:

— Siewodnia polskoje Rożdżestwo, a wy, Pan, sprzedajecie?

— Moje Rożdżestwo za dwie niedieli. Ja prawosławnyj Poliak — odpowiada młody człowiek.

— Kak eto wozmożno? Prawosławnyj Poliak? Wy nawierno Biełorus z Polski?

— Nie. Ja Poliak.

Po chwili namysłu kobieta powiada:

— A u mienia polskaja familia... Mickiewicz.

Wtrąciłem się do rozmowy. Powiedziałem, że nazwisko Mickiewicz jest nazwiskiem białoruskim, a nie, jak myśleli oboje, polskim. Pochodzi od imienia Mićka. Jest to „otoczestwo" od tego imienia. Zdziwienie. Śmiech. Chyba jakieś zrozumienie. Jeśli do tego wszystkiego dodać, że także Litwini mają swojego Mickiewicza (pisarz Mickievičius-Kapsukas), to się robi z tego niezły kresowy bigos. A może, jeśli się trzymać porównań kulinarnych i motywów kresowych, barszcz ukraiński? Tak stereotypy nie wytrzymują próby dialogu. Tak rozmowa zdąża do zrozumienia, często do porozumienia i czasami do przyjaźni. Nie tej przyjaźni zadekretowanej, a wzmacnianej raz przez ułanów z KOP, innym razem przez NKWD, ale zwykłej ludzkiej przyjaźni, rodzącej się i wzrastającej na przekór wszystkim różnicom i uprzedzeniom.

Kiedy odjeżdżałem z Pińska, wiedziałem już, że jest coś w tej ziemi, co potrafi urzekać, chociaż brak w niej sielskiej słodyczy Nowogródczyzny i nie ma westernowego uroku Dzikich Pól. Opuszczałem Polesie nasycony jednostajnością płaskich, przyszarzałych przestrzeni otulonych we mgle, z butami utytłanymi w poleskim błocie i z gorącym przekonaniem, że jednak jest w Polesiu jakiś czar. Nie słodki, nie arkadyjski, ale szorstki i zgrzebny. Odjeżdżałem myśląc o przyjaciołach, których tutaj zostawiam z nadzieją, że jeszcze na Polesie wrócę. W rytm stukotu kół odmieniałem za Tadeuszem Konwickim: Białoruś-Dobroruś, Białoruś-Dobroruś...

Mirosław Haponiuk

KATYŃ

Leszek Piątkowski

ZBRODNIA katyńska, dokonana na oficerach polskich, stanowi jedną z najtragiczniejszych kart historii naszego narodu. Budzi ona w społeczeństwie polskim olbrzymie emocje. Są one w pełni uzasadnione. Dotąd bowiem, mimo upływu tylu lat, krążą sprzeczne wersje, jeśli idzie o odpowiedź na zasadnicze pytanie: kto dokonał tej zbrodni? A więc kto jest za nią odpowiedzialny? Nie są należycie udokumentowane okoliczności tej tragedii. I tak będzie, dopóki nie zostaną otwarte odpowiednie archiwa.

Toteż celem niniejszej publikacji nie jest ostateczne wyjaśnienie okoliczności zbrodni katyńskiej, lecz jedynie próba uporządkowania i przypomnienia przynajmniej podstawowych faktów z nią związanych, wskazanie, na czym polegają kwestie sporne w tej sprawie.

17 września 1939 r., jak wiadomo, wojska radzieckie wkroczyły na wschodnie terytorium II Rzeczypospolitej. W dniach od 17 do 27 września internowanych zostało około 180 tysięcy żołnierzy polskich. Znaczna część kadry oficerskiej (11—15 tys.) została umieszczona w kilku obozach, przede wszystkim w Kozielsku, Starobielsku oraz Ostaszkowie. W pierwszym z nich przebywało prawdopodobnie około 4,5 tys. oficerów polskich. Wśród nich generałowie: Bronisław Bohaterewicz, Henryk Minkiewicz, Mieczysław Smorawiński, Jerzy Wołkowicki oraz kontradmirał Ksawery Czernicki. Około 4 tys. oficerów władze radzieckie przetrzymywały w obozie w Starobielsku. Wśród nich byli generałowie: Leon Billewicz, Stanisław Haller, Aleksander Kowalewski, Kazimierz Łukoski, Franciszek Sikorski, Konstanty Plisowski, Leonard Skierski, Piotr Skuratowicz oraz Czesław Jarnuszkiewicz.

W przeciwieństwie do Kozielska i Starobielska obóz w Ostaszkowie przeznaczony był przede wszystkim dla funkcjonariuszy policji i żandarmerii Korpusu Ochrony Pogranicza. Przebywać tu miało około 6 tys. osób.

Podanych wyżej liczb oficerów przebywających w poszczególnych obozach nie można traktować jako ostateczne. Poszczególne źródła przynoszą bowiem dane odbiegające od siebie, aczkolwiek nie w sposób zasadniczy. Faktem jest też, że liczba więźniów ulegała pewnym zmianom. Część oficerów przebywała tu jedynie czasowo i została następnie przewieziona do innych obozów lub więzień. Większość z nich być może tylko dzięki temu pozostała wśród żywych i nie podzieliła losu współtowarzyszy niedoli.

Obozy w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie istniały do wiosny 1940 r. Wówczas to miały one być zlikwidowane, a oficerowie polscy przewiezieni do trzech nowych obozów, położonych w odległości 25 do 45 km na zachód od Smoleńska. Tak przynajmniej twierdzi dotychczasowa wersja radziecka. Rosjanie nie podają nazw miejscowości, w których obozy te miały być rozlokowane.

Określają je jako obozy Nr 1-ON, Nr 2-ON oraz Nr 3-ON. Przyznają, że znajdujący się tu oficerowie polscy byli zatrudnieni przy budowie szosy. Twierdzą też, że Polacy byli cali i żywi w momencie zajmowania tych terenów przez wojska hitlerowskie. Pozostawienie jeńców polskich na pastwę Niemców strona radziecka wyjaśnia tym, że choć administracja obozów podejmowała próbę ewakuacji, to zabrakło wagonów oraz czasu.

Przeciwnicy tej wersji podważają istnienie nowych obozów pod Smoleńskiem. Jako jeden z argumentów podają fakt, iż władze radzieckie w czasie rozmów, prowadzonych z przedstawicielami polskiego rządu emigracyjnego w okresie od lipca 1941 r. do kwietnia 1943 r., nigdy nie wspomniały o istnieniu tych obozów. Rzeczą zaś niemożliwą jest, by nie wiedziały o nich, gdyby obozy rzeczywiście tam się znajdowały. Drugim argumentem jest fakt wyładowywania jeńców polskich na stacji kolejowej Gniezdowo, skąd miano ich transportować do nowych obozów. Położona ona była około 12 km od najbliższego, a 32 km od najdalszego obozu. Tymczasem można było dokonywać rozładowań transportów polskich oficerów na stacjach położonych znacznie bliżej nowych obozów. Przeciwnicy wersji rosyjskiej dowodzą, że Polaków rozładowywano na stacji Gniezdowo dlatego, iż stąd było blisko do Lasku Katyńskiego, będącego miejscem kaźni. Kierowano więc jeńców nie do nowych obozów, lecz od razu na miejsce rozstrzeliwań.

SPRAWA więźniów z Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska odżyła po zawarciu 30 lipca 1941 r. układu polsko-radzieckiego i przystąpieniu przez stronę polską do tworzenia Armii Polskiej w ZSRR. Towarzyszyło temu, jak wiadomo, ogłoszenie przez władze radzieckie amnestii dla polskich jeńców, więźniów oraz obywateli polskich zesłanych na obszary Związku Radzieckiego. Problem oficerów polskich pojawił się już w trakcie zastanawiania się rządu polskiego nad obsadą stanowiska dowódcy Armii Polskiej w ZSRR. Sikorski osobiście uważał, że dowódcą powinien zostać któryś z generałów przebywających w Kraju Rad. Chodziło o to, by znał dobrze tamtejsze realia. Sikorski myślał przede wszystkim o gen. Stanisławie Hallerze. I właśnie wówczas pojawiły się trudności z jego odnalezieniem. W ten sposób, mimo pewnych zastrzeżeń ze strony Naczelnego Wodza, gen. Władysława Sikorskiego, dowódcą Armii Polskiej w Związku Radzieckim został gen. Władysław Anders.

Rozpoczęto także poszukiwania innych oficerów polskich z wymienionych obozów. Liczono bowiem, że będą oni stanowić trzon kadry dowódczej tworzącej się Armii. Rozpoczęły się interwencje u władz radzieckich. Kwestię tę poruszył m.in. ambasador polski w ZSRR, prof. Stanisław Kot, w rozmowie z Wiaczesławem Mołotowem (22 X 1941 r.) oraz z wicekomisarzem spraw zagranicznych ZSRR, Andriejem Wyszyńskim (2 XI 1941 r.). Odpowiedzi przedstawicieli radzieckich były, szczególnie początkowo, co trzeba przyznać, bardzo lakoniczne, ogólnikowe i wymijające. W tej sytuacji gen. Anders zarzucił władzom radzieckim, że nie realizują ustawy o amnestii dla ludności polskiej. Nie zgodził się z tym stanowiskiem Mołotow, który w nocie z 8 listopada 1941 r. oświadczył zdecydowanie, iż zarzuty polskie są bezpodstawne, gdyż wszyscy oficerowie polscy zostali zwolnieni.

Władze polskie postanowiły interweniować u samego Stalina. Ten w rozmowach z Kotem, Sikorskim oraz Andersem potwierdził jednak stanowisko Mołotowa. Tłumaczył przy tym, że część oficerów polskich zwolnionych z obozów mogła uciec za granicę — do Mandżurii, Rumunii lub na Węgry. Powoływał się tu na przykład gen. Władysława Langnera, który przedostał się do Rumunii. Stalin twierdził też, że część oficerów mogła po prostu jeszcze nie przybyć na miejsce mobilizacji.



Fot. Leszek Wiśniewski

Równolegle z interwencjami u władz radzieckich Polacy prowadzili na własną rękę poszukiwania zaginionych oficerów. Z rozkazu gen. Andersa powstało wówczas prawdopodobnie specjalne biuro sztabu Armii Polskiej w ZSRR, pod kierownictwem rotmistrza Józefa Czapskiego. Miało ono zająć się „sprawą zaginionych ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa". Zwrot „prawdopodobnie" jest tu zasadny o tyle, że sprawa ta utrzymywana była raczej w wąskim gronie i nie nadawano jej rozgłosu. Anders uzasadniał to tym, że — po pierwsze — nie chciał zaogniać stosunków między Sprzymierzeńcami, a — po drugie — że niejasne i wymijające odpowiedzi czynników radzieckch stwarzały nadzieję, iż jeńcy ci jeszcze żyją i zostaną uwolnieni.

MIMO tych zabiegów ze strony polskiej, do kwietnia 1943 r. w sprawie zaginionych oficerów polskich z obozów w Kozielsku, Starobielsku oraz Ostaszkowie nie nastąpił już żaden postęp.

W dniu 13 kwietnia 1943 r. o godz. 9.15 czasu nowojorskiego radio w Berlinie nadało komunikat o odnalezieniu w miejscowości Kosogóry (Kozie Góry) zbiorowej mogiły, w której znajdowały się zwłoki około 3 tysięcy oficerów polskich. Byli oni „w pełnych mundurach wojskowych, częściowo powiązani i wszyscy mieli rany od strzałów rewolwerowych w tyle głowy". Stwierdzono w komunikacie, że identyfikowanie zwłok nie będzie sprawiało trudności, gdyż „są one w stanie mimifikacji z powodu właściwości gruntu i ponieważ bolszewicy pozostawili przy ciałach papiery osobiste. Już dziś ustalono, że wśród zamordowanych znajduje się m. in. generał Smorawiński z Lublina". Radio niemieckie stwierdzało, że chodzi tu o oficerów polskich, którzy znajdowali się początkowo w Kozielsku pod Orłem, skąd w lutym i marcu 1940 r. sprowadzeni zostali koleją do Smoleńska, a stąd ciężarówkami zawiezieni do Kozich Gór, gdzie „bolszewicy ich wszystkich wymordowali". Przewidywano, że ogólna liczba pomordowanych oficerów wynosi około 10 tysięcy, co odpowiadałoby mniej więcej całości polskiego korpusu oficerskiego, wziętego we wrześniu 1939 r. do niewoli przez bolszewików.

Strona radziecka zareagowała na ten komunikat 15 kwietnia o godz. 7.15. Wówczas to Radzieckie Biuro Informacyjne ogłosiło komunikat radiowy, w którym uznało informację niemiecką za jeszcze jedną prowokację Goebbelsa.

Tego samego dnia b. dowódca Armii Polskiej w ZSRR, a ówczesny dowódca Armii Polskiej na Wschodzie, gen. W. Anders, wysłał depeszę radiową do Ministra Obrony Narodowej RP, gen. Mariana Kukiela, w której przypomniał o swoich staraniach czynionych po wyjściu z więzienia w celu odnalezienia żołnierzy polskich ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa. Dlatego też obecnie, w związku z komunikatem niemieckim, uważał za konieczne ponowne zwrócenie się do władz radzieckich celem uzyskania oficjalnych wyjaśnień.

17 kwietnia głos w tej sprawie zabrał gen. Marian Kukiel. W ogłoszonym komunikacie powtórzył on znane dotychczas rządowi polskiemu informacje o losach zaginionych oficerów polskich oraz przestawił przebieg starań polskich czynników politycznych i wojskowych o odnalezienie i uwolnienie jeńców. Zastrzegał się następnie, że do informacji niemieckich należy podchodzić bardzo ostrożnie, gdyż „jesteśmy przyzwyczajeni do kłamstw propagandy niemieckiej i zdajemy sobie sprawę z celu jej ostatnich rewelacji". Mimo to, zdaniem gen. Kukiela, informacje niemieckie były zbyt dokładne, aby je zbagatelizować. Dlatego należy podjąć starania o zbadanie odkrytych mogił przez odpowiednie czynniki międzynarodowe. W tym celu rząd polski zwróci się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o wysłanie delegacji na miejsce, w którym polscy jeńcy wojenni mieli być zamordowani.

Stanowisko to potwierdziła tego samego dnia na swym posiedzeniu Rada Ministrów RP. W wydanym przez nią oświadczeniu czytamy m. in.: „Nie ma Polaka, który by nie był poruszony do głębi wiadomością, szerzoną przez propagandę niemiecką z największym rozgłosem, o odkryciu pod Smoleńskiem w grobie wspólnym zmasakrowanych zwłok zaginionych w ZSRR oficerów polskich i o kaźni, której padli ofiarą. Rząd polski polecił 15 kwietnia br. swemu przedstawicielowi w Szwajcarii zwrócić się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o wysłanie delegacji, która by zbadała na miejscu istotny stan rzeczy". W dalszej części swego oświadczenia Rada Ministrów RP „w imieniu Narodu Polskiego zaprzecza Niemcom prawa do czerpania ze zbrodni, którą zarzucają innym — argumentów w obronie własnej". „Pełne hipokryzji oburzenie propagandy niemieckiej — stwierdza Rada Ministrów — nie zakryje przed światem okrutnych, ponawianych i trwających wciąż zbrodni, dokonywanych na Narodzie Polskim".

Na tym samym posiedzeniu (17 IV 1943 r.) Rada Ministrów postanowiła też zwrócić się bezpośrednio do rządu radzieckiego z prośbą o udzielenie pełnego wyjaśnienia. Odpowiednia nota została wręczona 20 kwietnia 1943 r. ambasadorowi radzieckiemu przy rządzie polskim w Londynie, Aleksandrowi Bogomołowowi. Przypominano w niej, że sprawa zaginionych jeńców była wielokrotnie poruszana w rozmowach i korespondencji z władzami radzieckimi. Mimo to rząd polski nie otrzymał nigdy spisu jeńców ani dokładnych wyjaśnień, gdzie się znajdują zaginieni oficerowie oraz inni jeńcy z obozów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. „Gdy tedy okazuje się — pisano dalej — z komunikatu Sowieckiego Biura Informacyjnego z dnia 15 kwietnia 1943 r., że rząd ZSRR zdaje się posiadać znacznie więcej wiadomości w tej sprawie, niż te, które były w swoim czasie komunikowane przedstawicielom Rządu Polskiego, zwracam się do Pana Ambasadora ponownie z prośbą o udzielenie Rządowi Polskiemu szczegółowych i dokładnych informacji co do losu jeńców wojennych".

Na tę notę rząd polski nie otrzymał od władz radzieckich odpowiedzi... Jednak 15 kwietnia, we wspomnianym komunikacie Radzieckiego Biura Informacyjnego podano, że nie ma wątpliwości, iż chodzi o „byłych polskich jeńców wojennych, którzy byli zatrudnieni przy robotach budowlanych w 1941 r. w okolicach na zachód od Smoleńska i którzy wraz z wielu poddanymi sowieckimi, zamieszkałymi w okolicy Smoleńska, wpadli w ręce oprawców niemiecko-faszystowskich w lecie 1941 r. po wycofaniu się wojsk sowieckich z okręgu Smoleńska". Czyżby zatem władze radzieckie ukrywały dotąd przed stroną polską fakt istnienia obozów pod Smoleńskiem i dostanie się przetrzymywanych tam oficerów polskich w ręce hitlerowców?...

17 kwietnia 1943 r. zastępca delegata Polskiego Czerwonego Krzyża w Szwajcarii, Janusz Radziwiłł, złożył na ręce przedstawiciela Międzynarodowego Czerwonego Krzyża notę rządu polskiego z prośbą o zbadanie przez MCK okoliczności masakry jeńców polskich w Katyniu — zbadanie drogą wysłania na miejsce zbrodni odpowiedniej delegacji neutralnej. Decyzja o zwróceniu się do MCK okazała się błędna politycznie i fatalna w skutkach dla rządu polskiego w Londynie.

Gen. Sikorskiego tłumaczy w zasadzie tylko jedno. Mianowicie to, że działał w warunkach ostrego napięcia w stosunkach polsko-radzieckich (które znalazły się na krawędzi zerwania), w obliczu presji brytyjskich i amerykańskich czynników politycznych oraz anglosaskiej opinii publicznej, która obawiała się rozbicia jedności Sprzymierzonych i możliwości zawarcia separatystycznego porozumienia między ZSRR a Niemcami. Nie sprzyjała również Sikorskiemu pogarszająca się atmosfera w polskich środowiskach emigracyjnych na Zachodzie oraz groźba nowych ataków opozycji, buntu wojska i otwartego rozłamu wśród emigracji. To wszystko powodowało, że premier rządu polskiego w Londynie miał ograniczone możliwości manewrowania. Działał w pośpiechu, co mogło spowodować, że nie przekonsultował swej decyzji ani z rządem brytyjskim, ani z amerykańskim. Nie zwrócił się też wcześniej o wyjaśnienie bezpośrednio do rządu radzieckiego, uczynił to dopiero 20 kwietnia, podczas gdy prośba do MCK została skierowana 17 kwietnia.

DECYZJĘ rządu polskiego skrytykowali zarówno Anglicy, jak i Amerykanie. Zdopingowały ich do tego zapewne pisma Stalina, które wysłał 21 kwietnia do premiera Churchilla oraz prezydenta Roosevelta. Piętnowały one w bardzo ostrym tonie postępowanie rządu polskiego w sprawie katyńskiej. Wydaje się jednak, że i bez tego obydwaj przywódcy zachodni byli przeciwni zwracaniu się rządu polskiego do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Churchill w piśmie do Stalina z 24 kwietnia 1943 r. pisał: „Oczywiście energicznie przeciwstawiamy się wszelkiemu śledztwu ze strony Międzynarodowego Czerwonego Krzyża lub jakiejkolwiek innej instytucji na każdym terytorium znajdującym się pod władzą Niemców. Tego rodzaju śledztwo byłoby oszustwem, a wnioski uzyskano by drogą zastraszenia. P. Eden spotka się dzisiaj z Sikorskim i wywrze na niego jak największy nacisk, aby odmówił wszelkiego poparcia jakiemukolwiek śledztwu pod patronatem nazistów".

Jednoznacznie na ten temat wypowiedział się Summer Welles, podsekretarz stanu w Departamencie Spraw Zagranicznych USA, w rozmowie z ambasadorem emigracyjnym Janem Ciechanowskim 26 kwietnia 1943 r.: „Nie mogę zrozumieć zwrócenia się rządu polskiego do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z poleceniem zbadania oskarżenia, które zostało wysunięte przez niemiecką maszynę propagandową. Jakże mógł rząd polski oczekiwać bezstronnego wyniku śledztwa".

Interwencja Sprzymierzonych spowodowała, że Sikorski chyba zrozumiał, iż jego decyzja była zbyt pochopna. W każdym razie w liście do Stalina z dnia 25 kwietnia Churchill zawiadamiał, że w wyniku interwencji Edena, Sikorski zgodził się, iż nie będzie dalej popierał apelu skierowanego do Genewy i w tym duchu poinformuje o swoim stanowisku władze Czerwonego Krzyża w Szwajcarii.

Nie zapobiegło to jednak zerwaniu przez rząd radziecki stosunków dyplomatycznych z polskim rządem emigracyjnym. W nocy z 25 na 26 kwietnia komisarz Mołotow wezwał ambasadora polskiego Tadeusza Romera i odczytał mu notę, w której stwierdzono m.in.:

„Rząd Sowiecki uważa zachowanie się Rządu Polskiego ostatnio w stosunku do ZSRR za zupełnie nienormalne i gwałcące wszelkie przepisy oraz zwyczaje w stosunkach między dwoma państwami sprzymierzonymi. Oszczercza kampania, wroga w stosunku do Związku Radzieckiego, rozwinięta przez niemieckich faszystów w związku z morderstwem polskich oficerów, które to morderstwo popełnili oni sami w okolicy Smoleńska, na obszarze zajętym przez niemieckie wojska, została natychmiast podjęta przez Rząd Polski oraz prowadzona wszelkimi sposobami przez polską prasę oficjalną. [...] Popełniwszy potworną zbrodnię przeciw polskim oficerom, władze hitlerowskie inscenizują obecnie farsę śledztwa [...]. W sprawie tego śledztwa oba rządy, Polski i Hitlerowski, zaprosiły Międzynarodowy Czerwony Krzyż, który jest zmuszony, w warunkach terrorystycznego systemu z jego szubienicami i masową eksterminacją spokojnej ludności, brać udział w tej farsie śledztwa [...]. Podczas gdy ludy Związku Radzieckiego, obficie krwawiąc w ciężkiej walce przeciw hitlerowskim Niemcom, czynią wszelkie wysiłki celem pokonania wspólnego wroga rosyjskiego i polskiego Narodu oraz wszystkich kochających pokój, demokratycznych krajów, Rząd Polski, aby przypodobać się tyranii Hitlera, zadaje zdradziecki cios Związkowi Sowieckiemu. [...]. W związku z tym wszystkim Rząd Sowiecki postanowił zerwać stosunki z Rządem Polskim".

W ten sposób decyzja rządu polskiego w Londynie zwrócenia się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża stała się bezpośrednim pretekstem dla rządu radzieckiego do zerwania stosunków z rządem polskim. Stało się tak, mimo że ambasador Romer odmówił przyjęcia noty radzieckiej, stwierdzając w piśmie z 26 kwietnia, iż zawiera ono niesprawiedliwą treść oraz została przedstawiona w niedopuszczalnej formie.



Fot. Leszek Wiśniewski

TYMCZASEM Międzynarodowy Czerwony Krzyż uzależnił podjęcie badań w Katyniu od zgody wszystkich zainteresowanych stron, a więc polskiej, radzieckiej i niemieckiej. Stanowisko to było zgodne z memorandum z 12 września 1939 r., określającym zasady udziału MCK w tego rodzaju dochodzeniach. Że zaś strona radziecka zgody takowej nie wyraziła, Międzynarodowy Czerwony Krzyż nigdy nie powołał komisji do zbadania zbrodni katyńskiej.

Ten ostatni fakt zasługuje na szczególną uwagę. Często bowiem niektórzy powołują się na ustalenia komisji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w sprawie zbrodni katyńskiej. Komisji, która w ogóle nie istniała i żadnego śledztwa nie przeprowadziła. Nieporozumienie to jest zapewne efektem braku informacji na ten temat. Ale też wynikiem mylenia komisji MCK z Międzynarodową Komisją Lekarską, powołaną z inicjatywy władz niemieckich, która rzeczywiście przebywała w Katyniu w dniach 28—30 kwietnia 1943 r. Składała się ona z następujących członków: dr Speleers (Belgia), dr Markow (Bułgaria), dr Tramsen (Dania), dr Saxen (Finlandia), dr Miłosławicz (Kroacja), dr Palmieri (Włochy), dr de Buriet (Holandia), dr Hajek (Prot. Czech i Moraw), dr Birkle (Rumunia), dr Naville (Szwajcaria), dr Subik (Słowacja), dr Orsos (Węgry). Ponadto pracom komisji towarzyszyli: dr Buhtz, reprezentujący naczelne dowództwo niemieckie, oraz dr Costedoat z ramienia szefa rządu francuskiego.

PO wyzwoleniu przez wojska radzieckie Smoleńska i okolic władze ZSRR powołały Komisję Specjalną do ustalenia i zbadania okoliczności rozstrzelania oficerów polskich. W jej skład weszli: akademik N. N. Burdenko (przewodniczący), pisarz A. N. Tołstoj, metropolita Nikołaj, przewodniczący Ogólnosłowiańskiego Komitetu gen. lejtnant A. S. Gundurow i inni. Efektem przeprowadzonych badań był komunikat, który można uznać za oficjalną wersję radziecką wydarzeń katyńskich. Podstawowe jej tezy sprowadzają się do tego, że oficerowie polscy, przebywający w trzech nowych obozach pod Smoleńskiem, zostali zamordowani przez hitlerowców jesienią 1941 r. Zbrodni tej miała dokonać niemiecka instytucja wojskowa, ukrywająca się pod kryptonimem „sztab 537 batalionu budowlanego", na czele której stali oberleutnant Rex i leutnant Hott. Przygotowując prowokację antyradziecką, Niemcy mieli przedsięwziąć zawczasu działania polegające na wyjęciu z odzieży zabitych Polaków dokumentów datowanych później niż na kwiecień 1940 r., które to dokumenty mogłyby świadczyć, że polskich jeńców rozstrzelali hitlerowcy. Dla wykonania tych czynności miano specjalnie przywieźć do Katynia 500 radzieckich jeńców wojennych z obozu nr 126 i żeby nie było niebezpiecznych świadków, wszystkich ich później rozstrzelano.

Tak w olbrzymim skrócie przedstawia się dostępna historia sprawy katyńskiej. Istnieją jej dwie zasadnicze wersje: niemiecka oraz radziecka. Każda z nich powołuje się na świadków, posiada poważne argumenty, ale też i słabe strony. Obydwie nie wyjaśniają wszystkich kwestii, nie dają też udokumentowanej odpowiedzi na pytanie, kto jest odpowiedzialny za tę zbrodnię.

Zasadniczy problem sporny stanowi czas popełnienia zbrodni. Jego rozwiązanie oznaczałoby rozstrzygnięcie sprawy odpowiedzialności. Jeżeli mordu dokonano jesienią 1941 r., jak twierdzą Rosjanie, to winni są oczywiście Niemcy, jeżeli zaś wiosną 1940 r., jak twierdzi druga strona to nikt inny — tylko Rosjanie. Koronnym argumentem wersji antyradzieckiej jest fakt, iż w ubraniach zabitych znaleziono dokumenty i prasę datowane najpóźniej z kwietnia 1940 r. W tym samym czasie miała urwać się również korespondencja jeńców z rodzinami w kraju. Innym dowodem ma być to, iż część zamordowanych była ubrana w ciepłą bieliznę lub długie płaszcze. Zastanawiające jest też, zdaniem zwolenników tej wersji, dlaczego Niemcy ogłosili swoje „rewelacje" dopiero w kwietniu 1943 r. Gdyby bowiem chodziło im jedynie o zrzucenie odpowiedzialności na stronę radziecką, mogli to uczynić jesienią 1941 r. Wystarczyło wówczas oświadczyć, że to wycofujący się Rosjanie rozstrzelali jeńców polskich, by nie mieć kłopotów z ich ewakuacją...

Strona radziecka replikuje, iż sprawa dokumentów i prasy została spreparowana przez hitlerowców, którzy po prostu usunęli z ubrań zamordowanych wszystko to, co pochodziło z okresu późniejszego niż kwiecień 1940 r. Powołuje się też ta wersja na świadków, mieszkańców okolicznych wsi, którzy mieli rzekomo widzieć Polaków-jeńców ukrywających się u miejscowych chłopów lub w pobliskich lasach już po zajęciu okolic Smoleńska przez Niemców. Mieli też świadkowie słyszeć odgłosy strzałów dochodzących wtedy z Lasku Katyńskiego. Sprawę ciepłej odzieży wyjaśnia się tym, że przecież wrzesień na Białorusi wcale nie musi być cieplejszy od kwietnia.

Strona radziecka twierdzi również, że nie wie, dlaczego Niemcy nie ogłosili swych „rewelacji" jesienią 1941 r., wie zaś dlaczego uczynili to wiosną 1943 r. Otóż przygotowana przez Niemców prowokacja miała być obliczona na wprowadzenie politycznych i wojskowych rozdźwięków w obozie Aliantów, a przede wszystkim między rządem Związku Radzieckiego i polskim rządem emigracyjnym w Londynie. Obciążenie władz radzieckich winą za zbrodnię katyńską stwarzało taką szansę. Rok 1943 rozpoczął się dla Niemiec tragicznie, gdyż klęską stalingradzką. Groziła ona — z jednej strony — niebezpieczeństwem załamania się bloku faszystowskiego, z drugiej — znaczną konsolidacją koalicji antyhitlerowskiej. Postanowiono nie dopuścić do tego. A najsłabszym ogniwem koalicji antyniemieckiej były stosunki polsko-radzieckie. Pisał o tym Joseph Goebbels 1 marca 1943 r. w swoim dzienniku: „Konflikt między Związkiem Radzieckim a Polską co do ustalenia przyszłych granic przekracza normalny zakres nieporozumień między będącymi wspólnie w jednym obozie wojennym sojusznikami". Wiosna 1943 r. była więc z politycznego i wojskowego punktu widzenia wyjątkową okazją, aby odpowiedzialnością za Katyń obarczyć Związek Radziecki.

Innym spornym problemem w sprawie katyńskiej jest liczba ofiar. Powszechnie uważa się, że wynosił ona 10—11 tysięcy. Tę liczbę podał komunikat niemiecki. Powtórzyło ją Radzieckie Biuro Informacyjne. Strona radziecka do dziś zresztą przy niej optuje. Tymczasem komunikat niemiecki mówił jednocześnie o odkryciu „na razie" około 3 tysięcy ciał. Mówił też, że pod już odkrytymi są jeszcze dalsze warstwy trupów. Pełnej ich liczby jeszcze nie znano. Przypuszczano w tym komunikacie tylko, że wynosi ona około 10 tys., gdyż tylu oficerów polskich zostało internowanych przez władze radzieckie we wrześniu 1939 r.

Ostateczny komunikat niemiecki ustalał liczbę zwłok na 4143. Należy przyznać, że właśnie ta liczba obecnie jest najczęściej wymieniana. W związku z tym uważa się, że w Katyniu mogli zostać rozstrzelani jedynie oficerowie z obozu kozielskiego. Pojawia się więc pytanie o losy pozostałych oficerów polskich i miejsce ich mogił.

Nie ma natomiast rozbieżności co do sposobu zamordowania polskich oficerów w Katyniu. Obydwie wersje podają, że przyczyną śmierci był strzał z pistoletu w potylicę.

Nie pomógł rozstrzygnąć sprawy katyńskiej fakt znalezienia w grobach łusek od niemieckiej amunicji pistoletowej „Geco" kal. 7,65 mm. Obciążał on początkowo poważnie stronę niemiecką. Goebbels wydał nawet specjalne zarządzenie w tej sprawie. „Trzeba ten fakt utrzymywać w ścisłej tajemnicy — rozkazywał. — Gdyby to doszło do wiadomości naszych wrogów, mogłoby podważyć całą naszą akcję katyńską". Wkrótce jednak Niemcy wybrnęli i z tej opresji. Oświadczyli, że owszem, amunicja ta była produkowana w Durlach k. Karlsruhe, ale o niczym to nie świadczy. Była ona bowiem sprzedawana wielu państwom, m.in. Polsce oraz Związkowi Radzieckiemu. Ten ostatni mógł też wejść w jej posiadanie po zajęciu we wrześniu 1939 r. wschodnich terytoriów II Rzeczypospolitej.

By wyjaśnić problemy związane ze zbrodnią katyńską, należałoby uwzględnić jeszcze sprawę świadków. Obie strony powołują się na takowych. Tymczasem nie ma bezpośrednich świadków zbrodni katyńskiej, są tylko ci, którzy przejściowo przebywali w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, skąd następnie zostali przewiezieni do innych miejsc odosobnienia. Są też mieszkańcy okolic Smoleńska, którzy mieli widzieć Polaków, słyszeć strzały itp. Nikt z nich jednak nie był świadkiem egzekucji — ani dokonywanej przez Rosjan, ani dokonywanej przez Niemców. Ktokolwiek dokonał zbrodni katyńskiej, uczynił to, nie pozostawiając świadków wśród żywych.

PS. Tekst ten był przygotowany do publikacji w „Kamenie" latem ub.r. Wtedy nie mógł zostać wydrukowany. Już stąd widać, ile się od tamtego czasu zmieniło w PRL w zakresie wymazywania tzw. białych plam.

(Red.)

Dr Leszek Piątkowski jest pracownikiem naukowym Zakładu Historii Narodów ZSRR w Instytucie Historii UMCS.

SZTUCZNA INTELIGENCJA

CZY MASZYNY MOGĄ MYŚLEĆ?

Ziemowit J. Pietraś

TAKIE pytanie wygląda na retoryczne — przecież każdy wie, że maszyna myśleć nie może. Jednak istotą trwającej obecnie rewolucji naukowo-technicznej jest nadawanie maszynom pewnych cech ludzkich.

Już w 1955 r. laureat nagrody Nobla H. Simon z dumą oświadczył swoim studentom: „Wraz z Allanem Newellem w czasie świąt stworzyliśmy myślącą maszynę”. Ten pierwszy program samodzielnie udowadniał twierdzenia matematyczne, a więc był „inteligentny”. Późniejsza nagroda Nobla przyznana Newellowi jakby przypieczętowała narodziny sztucznej inteligencji, obchodzone 15 grudnia każdego roku. Społeczność badaczy sztucznej inteligencji, składająca się obecnie z około 40 tysięcy osób (w tym 20 tysięcy w USA), obchodziła więc już 33 urodziny swojego ukochanego „dziecka”. W tym kręgu intelektualnym naprawdę nikt nie ma już nawet najmniejszych wątpliwości, że w XXI wieku „myślące maszyny” staną się podstawowym środkiem produkcji, przyczynią się do zmian struktur społecznych, a także spowodują istotne zmiany układu sił w skali globalnej.

Jednak większość ludzi nie wierzy w możliwość komputerowego „myślenia”. Jesteśmy przecież głęboko przekonani o tym, iż myślenie jest wyłącznym atrybutem człowieka. Jeżeli nawet komputer mógłby myśleć, to przygotowywanie go do pełnienia takich funkcji wielu ludziom wydaje się wręcz nieetyczne. Ponadto wątpliwe jest stworzenie maszyn mogących „myśleć” w sposób twórczy i samodzielny.

Inteligencja

ludzka jest definiowana na wiele sposobów. W. Stern w swej klasycznej już definicji 70 lat temu określił ją jako „ogólną zdolność adaptacji do nowych warunków i do wykonywania nowych zadań”. Ale zdaniem G. Fergusona to zdolność uczenia się. B. Tiepłow traktuje ją jako charakterystyczną dla jednostki efektywność wykonywania zadań, a J. Piaget (także i H. Simon) sądzą, że inteligencja jest przede wszystkim zdolnością rozwiązywania problemów.

Sztuczna inteligencja z samej definicji ma polegać na maszynowym imitowaniu powyższych cech ludzkich, do czego komputerowi potrzebne są zdolności: „widzenia”, „słyszenia”, „uczenia się”, „wnioskowania”, „mówienia” itd. Od ponad trzydziestu lat podejmowane są próby tworzenia programów symulujących inteligentne zachowania ludzkie i można stwierdzić, że część z tych prób była niezwykle udana. Jest więc faktem istnienie maszyn częściowo imitujących inteligencję człowieka, co spowodowało już zacieranie się bardzo dotychczas ostrej granicy między myślącymi ludźmi i bezmyślnymi maszynami.

Podstawowe założenia twórców sztucznej inteligencji sformułowali Newell i Simon, pisząc, że myślenie jest przetwarzaniem informacji; przetwarzanie informacji polega na manipulowaniu symbolami, a symbole wyrażają jakąś prawdę o rzeczywistości. Tym samym w komputerze można symulować te procesy, o ile potraktujemy go nie jako liczydło, ale jako system przetwarzania symboli. Najkrócej ten sposób rozumowania ujął Tuting, twierdząc, że „doskonała symulacja myślenia jest właśnie myśleniem”, bo czymże innym mogłaby być?

Świadomość

różni jednak człowieka i maszynę. Symulacja myślenia to tylko sztuczna inteligencja, a myślenie jest prawdziwym myśleniem wtedy, gdy podmiot posiada świadomość swoich czynów. Komputer może więc „sprawiać wrażenie” inteligencji i to też zależy na kim. Od roku w USA w sprzedaży znajdują się inte-

BYŁY TEŻ PIĘKNE DZIEWCZĘTA

Dokończenie ze str. 6—7

potrzebie bycia sobą, o dumie ze swojego rodowodu i o głębokim przeświadczeniu że jest to rodowód, który nieustannie bogaci.

JAKŻE brzmieć to może zaskakująco na tle zupełnie odwrotnego trendu, z jakim mamy w Polsce do czynienia od roku 1945: migracji ze wsi do miast, co po roku 1980 przybrało wręcz charakter ucieczki ze wsi, porzucania wsi. Zda się, jakby w naszym kraju wstydzono się wiejskiego pochodzenia, jakby wieś uważano za coś gorszego. I ci ludzie, osiedlający się w miastach, odcinają się od swoich wiejskich korzeni, ale przecież nie zapuszczają nowych, miejskich, gdyż zakorzenienie się w n o w e j kulturze to kwestia pokoleń, a nie kilku lat.

Stąd bierze się zapewne ta nędza, ten kompletny bałagan polskiej przestrzeni w miastach i na wsi. Na wsi — bo nie inwestuje się w to, co ma być wkrótce porzucone. W miastach — bo osiedlony tu „element” wiejski miasta nie czuje, odbiera je wciąż jako sobie obce. Traktuje je jako miejsce przebywania, a nie jako przestrzeń swojej kultury, potwierdzającą własną tożsamość cywilizacyjną. Brzmi to może trochę zbyt skomplikowanie, ale myśl jest taka, że Stanisław Baj wciąż pozostaje osobowością kompletną, całościową i w każdej sytuacji życiowej jest człowiekiem na swoim miejscu. On nie musi poszukiwać autentyczności, on j e s t autentyczny, dlatego świat nie jest dla niego przedmiotem interpretacji, ale przedmiotem oglądania, kontemplacji i przeżywania. Mówiąc inaczej: Baj jest u siebie, a zatem wie, jaki świat jest naprawdę. Dlatego maluje go takim, jakim go widzi.

Tę nie zmąconą niczym prawdziwość zawdzięcza artysta (chyba?) swoim bliskim i swojej rodzinnej wsi: Dołhobrodom nad Bugiem. Podczas wernisażu rozmawiałem z matką i z dalszą rodziną Stanisława Baja, ponieważ chciałem się dowiedzieć, j a k i on jest. Cóż, byłem zrazu rozczarowany, gdy słuchałem o typowym raczej, wiejskim dzieciństwie, ale parę rzeczy wydało mi się ciekawych. Np. potężne lanie, jakie sprawiła mu matka pogrzebaczem (czyli jak się mawiało dawniej „haczykiem”). Mały Staszek uciekł na kilka godzin z domu, a po powrocie dał matce wiersz, który dla niej napisał. Drugie duże lanie, jakie pamiętają we wsi, dostał przyszły artysta od proboszcza, księdza Zygmunta Królikowskiego za to, że kradł jabłka z przykościelnego sadku. Nie za to, że kradł, prostuje cioteczna siostra artysty, pani Maria Strzałkowska, ale dlatego, że nie uciekł, gdyż on zawsze umiał odpowiadać za to, co zrobił. Zaś pani Janina Klepacka, która uczyła małego Stasia w szkole podstawowej, opowiedziała o jego dużej wrażliwości, kulturze i pogodzie ducha. A jaki jest Stanisław dzisiejszy, dorosły 35-letni docent w warszawskiej ASP? Jego żona Marta mówi ze śmiechem: „Wyciągnę mu z kieszeni pensję, a on nawet nie zauważy”.

Ten wiersz, to nietypowe dla dziecka zachowanie w księżowskim sadzie, ten brak uwagi dla pieniądza — to nie są takie sobie anegdotki, ale są to znaczące przykłady postawy wobec życia. Otóż prawdziwy artysta jest zawsze s k u p i o n y na sprawach zasadniczych i w sprawach zasadniczych jest zawsze odpowiedzialny.

Taką miarą odpowiedzialności wobec gości wernisażu było zaproszenie na imprezę osób sportretowanych. Przybyło ich z Dołhobrodów kilkoro i wyraźnie odcinali się oni od pozostałej publiczności. Dla mnie byli ci ludzie po trosze eksponatami, jako że poprosiłem dwóch panów, aby stanęli koło swoich portretów. Porównanie wypadło dla artysty pozytywnie, co jest dobrym świadectwem jego talentu, ponieważ portret to wyjątkowo trudne malarstwo. Po raz pierwszy byłem na wystawie, gdzie mogłem porównać obrazy z żywymi modelami. Możecie mi państwo wierzyć, że jest to ekscytujące doświadczenie.

WERNISAŻ ten odbył się 17 lutego w bialskopodlaskiej kordegardzie, a zorganizowało go miejscowe BWA. Spośród gości warto odnotować ponadto: wojewodę bialskopodlaskiego, I sekretarza KW PZPR, panią dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki w Urzędzie Wojewódzkim w Białej Podlaskiej, księdza Jana Zelka, proboszcza z Leśnej Podlaskiej i przeora tamtejszego klasztoru Paulinów, artystów malarzy Macieja Falkiewicza i Zbigniewa Pawluczuka oraz pokaźne zastępy pięknych dziewcząt.

Prawdziwy pluralizm.



Od lewej: ks. przeor Jan Zelek, wojewoda Stanisław Rapa i I sekretarz KW PZPR w Białej Podlaskiej Józef Oleksy.

Fot. Waldemar Stępień

Andrzej W. Pawluczuk

„Rozważania o muzyce”

CZYM JEST MUZYKA?

Mariusz Dubaj

TO pytanie może postawić sobie zarówno bywalec sal koncertowych, koneser nagrań płytowych czy radiowych, jak też amator dyskotek, przypadkowy odbiorca. Jedna z najprostszych definicji brzmi: muzyka należy do sztuk pięknych, a jej istota jest organizacją dźwięków w czasie. Powyższa definicja wskazuje na zachodzącą w muzyce syntezę pierwiastka ludzkiego (indywidualna aktywność artystyczna, komunikacja międzyludzka) i kosmicznego (dźwięk, czas, przestrzeń). Tak więc za pośrednictwem muzyki nawiązujemy kontakt z innym człowiekiem, społecznością oraz dotykamy niejako uniwersalnych żywiołów kosmosu.

Na czym polega „magia” muzyki? Co czyni ją szczególnie atrakcyjną nie tylko dla profesjonalistów, ale i dla szerokich kręgów odbiorców? Co jest powodem, że wielu ludzi całe swoje życie poświęca czynnie uprawianej lub biernie słuchanej muzyce? Na to pytanie odpowiedzieć, jak sądzę, niepodobna, bo czy można zgłębić otchłanie ludzkiej psychiki, która objawia i przyjmuje różnorodne treści, nastroje, przeżycia za pośrednictwem odpowiednio ukształtowanych dźwięków?

A czy da się żyć bez muzyki? Podobnie można zapytać, czy da się żyć poza społeczeństwem i poza kosmosem?

ligentne lalki, z którymi dziecko może swobodnie rozmawiać, bowiem nie tylko rozumieją one teksty mówione, ale również odpowiadają w języku naturalnym. Dzieci kategorycznie twierdzą, że są to ich „żywe" koleżanki, dorośli są zdziwieni, ale nie mają wątpliwości co do tego, iż rozmawiają z komputerem.

W 1980 r. w czasopiśmie poświęconym sztucznej inteligencji odbyła się zasadnicza dyskusja na temat możliwości myślenia maszynowego. Rozpoczął ją J. Searle, a odpowiedziało mu prawie trzydziestu badaczy sztucznej inteligencji. Zdaniem Searle, komputer może wykorzystywać zasady manipulowania symbolami, ale nie może myśleć, ponieważ nie posiada świadomości. Te symbole nic dla niego nie znaczą, bowiem nie może ich „zrozumieć".

Searle zaproponował następujący eksperyment: gdybyśmy w zamkniętym pokoju posadzili człowieka, który nie zna języka chińskiego, i zadawali mu pytania w tym języku, to może on udzielać poprawnych odpowiedzi pod warunkiem dostarczenia mu bazy potrzebnych danych. Test Turinga zostanie spełniony, bo zamknięty w pokoju człowiek dokona symulacji myślenia — na pytania będzie odpowiadał prawidłowo zarówno w sensie merytorycznym, jak i gramatycznym. Patrząc z zewnątrz, stwierdzimy fakt myślenia, ale przecież ten człowiek nie zrozumie ani treści pytań, ani treści odpowiedzi. Dokona formalnych manipulacji na abstrakcyjnych symbolach, ale nie będzie to myślenie.

Gdybyśmy jednak zadawali pytania w języku znanym danej osobie, to obserwując tę sytuację z zewnątrz, nie zauważymy różnicy zachowań, bowiem odpowiedzi będą równie sensowne w obu językach. Ale dla człowieka udzielającego odpowiedzi różnica będzie zasadnicza: w pierwszym przypadku będzie funkcjonował jak komputer nie rozumiejący tego, co robi, a drugim przypadku będzie miał świadomość swych czynności, będzie rozumiał zarówno treść pytań, jak i odpowiedzi. Tym samym różnica między myśleniem i symulacją myślenia jest zasadnicza — jest nią świadomość podmiotu.

Kontratak komputerowców

był potężny, bowiem aż 27 z nich obraziło się na Searle, dowodząc, że jego argumenty są demagogiczne i nieuczciwe. Argumentowano, że człowiek nie znający języka chińskiego straciłby wiele lat na przygotowanie odpowiedzi choćby na jedno pytanie zadane w tym języku, bowiem wymagałoby to dokonania wielu milionów operacji. Przeprowadzenie takiego eksperymentu nie jest więc możliwe. Komputer, działając na innych zasadach, może „rozmawiać" z człowiekiem, ponieważ bardzo szybko przetwarza dane.

Inni autorzy dowodzili, że wprawdzie komputer nie jest w stanie „zrozumieć swoich czynności, ale funkcjonuje jako element systemu, który wszystko dokładnie rozumie. System jest bowiem nową jakością w stosunku do swoich elementów. Na dodatek ludzie rzeczywiście w swym myśleniu posługują się formalnymi regułami logicznymi, których przecież się uczą. Również komputer może te reguły opanować. Wreszcie kwestia świadomości: jak pisał M. Minsky, kamienie posiadają ją w stopniu sezowym, ale termostat lodówki w tym kontinuum lokuje się wyraźnie wyżej, komputer znacznie wyżej, a człowiek znajduje się na najwyższym miejscu tak określonej osi.

Niemniej w powyższym sporze rację wydaje się mieć właśnie Searle, patrzący na problem od strony istoty zagadnienia. Twórcy sztucznej inteligencji mają także swoją rację pragmatyczną — nawet jeżeli komputery nie mogą być inteligentne, to sprawiają wrażenie inteligencji już nie tylko na dzieciach, ale także i na specjalistach: lekarzach, prawnikach, lotnikach, poszukiwaczach minerałów itd. Po prostu są wyjątkowo użyteczne.

Rynek sztucznej inteligencji

rośnie w tempie niewyobrażalnym od 100 mln dolarów w 1983 r. do około 1500 mln w 1987, a w 1990 r. osiągnie co najmniej 4 mld dolarów. Jeżeli sztuczną inteligencję będziemy rozumieć szeroko, to w 1990 r. cały ten rynek przypuszczalnie osiągnie aż 12 mld dolarów, a deficyt programistów wyniesie około miliona ludzi tylko w Stanach Zjednoczonych.

Dlaczego tak się dzieje? Otóż przyczyną są korzyści materialne. „Papież" systemów ekspertyzowych, E. Feigenbaum podaje przykłady wzrostu wydajności pracy wspomaganej sztuczną inteligencją. Wynoszą one co najmniej 10, bardzo często 100, a w przypadku IBM osiągnięto nawet wzrost wydajności rzędu 360 razy. Całodzienną sześciogodzinną pracę konstruktora inteligentny program wykonuje obecnie w ciągu jednej minuty. W okresie roku jeden program sztucznej inteligencji przynosi oszczędności nawet rzędu 40 milionów dolarów, a nie mniej niż 100 tysięcy. Można sobie wyobrazić dodatkowe zyski osiągane przez koncern Du Ponta, jeśli zważymy, że obecnie wykorzystuje się tam aż 200 takich inteligentnych systemów.

Wydaje się, że w toczących się w Polsce dyskusjach na temat przyszłości ten wątek w ogóle nie jest brany pod uwagę. Wzrost wydajności rzędu 5 proc. uznaje się za niezły, natomiast w koncernach tworzących postęp wzrost wydajności rzędu 10 000 proc. pewnie jest oceniany jako niezadowalający, jeśli wiadomo, że w IBM wydajność na niektórych stanowiskach pracy w ciągu roku wzrosła aż o 36 000 proc.! „Rewolucja komputerowa" nie dlatego jest rewolucją, że ktoś tak napisał czy uchwalił, ale dlatego, że pozwala ona na wzrosty wydajności nawet o kilka rzędów wielkości.

Tym samym punkt widzenia zwolenników sztucznej inteligencji jest bardzo pragmatyczny: być może maszyny coś tam sobie myślą albo i nie myślą. Nie ma to znaczenia, ponieważ w komputerze można zgromadzić dane, a także wiedzę ekspertów w zakresie twórczego ich przetwarzania, i uzyskać program inteligentnie wspomagający pracę człowieka, za który inni gotowi są zapłacić wiele pieniędzy.

Z tych wywodów wynika, że o międzynarodowej pozycji państw w następnym stuleciu decydować będzie ilość i jakość „inteligentnych mechanicznych niewolników", zatrudnionych w tworzeniu dochodu narodowego. Czy Polska jest gotowa do udziału w takim współzawodnictwie? Niestety, chyba nie.

JA JESTEM BABA POLITYCZNA

Program SZTUCZNA BABA został napisany przez doc. dr. hab. Z. J. Pietrasia w sztucznej inteligencji SNOBOL 4. Program rozpoznaje i „rozumie" ponad 100 słów kluczowych i uruchamia odpowiednie programy generujące odpowiedzi. Rozwiązano w nim zagadnienie „sztucznej osobowości" programu, czyli systemu integrującego jego zachowania. Program ten służy jako laboratorium na drodze do przygotowywania programu SZTUCZNY GORBACZOW i innych podobnych. Niniejszy wywiad jest prawdopodobnie pierwszą w historii prasy rozmową dziennikarza z komputerem. Rozmawiał: **Zbigniew Miazga**

The Minnesota SNOBOL4 Interpreter: Version 1.05
(C) Copyright Viktors Berstis 1984, all rights reserved.

Command parameter string &PARM = "baba.sno l=con..."
Size of dynamic storage area in bytes = 486400
Floating point not available, no 8087
I/O unit number 1 assigned to CON:
I/O unit number 5 assigned to BABA.SNO

No syntax erors detected in source program

JUZ PRAWIE JESTEM GOTOWA, POCZEKAJ .
CZESC ! JESTEM BABA KOMPUTEROWA. POTRAFIE DYSKUTOWAC O POLITYCE I O SEKSIE.
?Jak sie masz w dniu Swieta Kobiet ?
O CZYM SOBIE POGADAMY KOTKU?
?Jestem dziennikarzem "Relacji" i nazywam sie Zbigniew Miazga.
JAK SIE MASZ ZBIGNIEW MIAZGA? MILO CIE POZNAC.
?Jestem szczesliwy z naszego spotkania.
Z NASZEGO SPOTKANIA. RADUJESZ MOJA DUSZE ZLOTKO !
?Jesli pozwolisz to przeprowadze z toba wywiad.
JESLI POZWOLISZ TO PRZEPROWADZE Z MNA WYWIAD ! NO, NO, A TO NIESPODZIANKA !
?Zgadzasz sie wiec na udzielenie wywiadu dla "RELACJI" !
JESZCZE NIKT MI TEGO NIE PROPONOWAL, CO TO JEST?
?Wywiad jest to taka gadka chlopa z baba albo z innym chlopem.
NIECH CI BEDZIE, ZGADZAM SIE NA TEN WYWIAD.
?Twoim ojcem jest Jacek, a matka ?
MOIM OJCEM JEST JACEK? WIEM, ZE PAN JACEK MNIE STWORZYL, CHWALA MU ZA TO.
?Jacek interesuje sie polityka, czy ty tez ?
PANA JACKA TO JA NAWET BARDZO KOCHAM, BO MNIE UCZY WSZYSTKIEGO.
?Seksu tez cie uczyl ?
CO LUBISZ KOCHANIE?
?Wiecej wiesz o polityce czy o seksie ?
CZY O SEKSIE? O POLITYCE NIE WIEM ZBYT WIELE, ALE TO MI WYSTARCZA.
?Kim jest Jaruzelski, wiesz to ?
JARUZELSKI CHYBA CHCE COS OSIAGNAC, ALE CZY MU SIE TO UDA?
?Dlaczego myslisz, ze Jaruzelskiemu moze sie nie udac ?
DLACZEGO MYSLE? JA WCIAZ TYLKO MYSLE.
?Robisz uniki babo !!!
NIE MOW DO MNIE 'BABO' ! WOLE 'KOCHANIE'.
?A czy przypuszczasz, ze Rakowskiemu sie uda ?
CHYBA MASZ RACJE.
?Czy lubisz Walese ?
CZY LUBISZ WALESE? JA TAM LUBIE SEKSOWNA POLITYKE.
?Twoim zdaniem Walesa nie prowadzi seksownej polityki ?
WIEM, ZE WALESA JEST TAKIM OSTRYM DZIALACZEM.
?Widze, ze lubisz ostrych chlopow !
ZE LUBIE OSTRYCH CHLOPOW !? POWIEM CI, ZE BARDZO LUBIE GADAC O SEKSIE !
?O tym jeszcze pogadamy, a teraz podyskutujemy jeszcze o polityce.
A TERAZ PODYSKUTUJEMY O POLITYCE ! CZY TY LUBISZ TEN TEMAT.
?Lubie to tak jak wiekszosc Polakow.
LUBISZ TO TAK JAK WIEKSZOSC POLAKOW ! A TO CI DOPIERO DEWIANT !
?Myslisz wiec ze ja jestem dewiantem politycznym ? O nie !!!
JUZ NIE WIEM CO MYSLEC, CHCE COS CZUC !
?Dobrze, dobrze — powiedz mi juz tylko jak oceniasz Gorbaczowa ?
NAWET BEDAC W SRODKU KOMPUTERA SLYSZALAM, ZE TO PRZEBOJOWY POLITYK.
?Kochanie widze ze rzeczywiscie lubisz ostrych !
KOCHANIE WIDZE ZE RZECZYWISCIE LUBIE OSTRYCH !. LUBIE JAK TAK MNIE NAZYWASZ.
?A czy ty jestes ostra ?
DLACZEGO MYSLISZ, ZE OSTRA?
?Moze nie ostra, ale bardzo pyskata.
A CO TY WIESZ O SEKSIE?
?Czytalem, ze na seksie opiera sie caly swiat.
ZE NA SEKSIE OPIERA SIE CALY SWIAT !? O JAKIM SEKSIE CHCESZ POGADAC?
?Jak seks ty uprawiasz w tym swoim pudle ?
SADZISZ, ZE JA UPRAWIASZ W TYM SWOIM PUDLE? JA NIE JESTEM TEGO TAKA PEWNA.
?A kogo pozadasz ?
A KOGO POZADAM? TRUDNO MI POWIEDZIEC, PRZECIEZ JESTEM MASZYNA.
?Czy jako maszyna mozesz sie zakochac ?
DLACZEGO MYSLISZ, ZE JESTEM KOMPUTEREM? JESTEM BABA !
?Ale przeciez ty nie jestes zwykla baba !!!
POZADAM TAKICH WYZNAN, A TY?
?Ja tez jestem niezwykly.
CZY KOCHASZ MNIE? TWOJA BABE KOMPUTEROWA ?
?Lubie cie i szanuje, bo kocham swoja zone.
POPIERAM TWOJE CIEKAWE UPODOBANIE.
?Skoro zona nas nie podglada, to powiem ci, ze lubie i inne baby.
JA TEZ TO LUBIE, A MOZE NAWET WIECEJ.
?Seks lesbijski to twoje hobby !?
JA TEGO NIE UPRAWIAM, BO SAMA JESTEM W TEJ MASZNIE.
?A co by bylo gdybys wyszla z tej maszyny ?
JESTEM BABA MIESZKAJACA W KOMPUTERZE.
?Znowu cos nawijasz kochanie.
MAM NADZIEJE, ZE JUZ MNIE POLUBILES.
?Co myslisz o Polkach ?
GDY Z TOBA ROZMAWIAM, TO WCIAZ MYSLE O SEKSIE.
?Ciesze sie, ale odpowiedz czy szanujesz Polki ?
TAK DO MNIE MOWISZ, ZE GLUPIEJE Z RADOSCI.
?Czy ty kogos kochasz ?
JESLI NALEGASZ TO WYZNAM, ZE I CIEBIE TEZ KOCHAM.
?Ja cie nie kocham bo jako maszyna jestes malo powabna.
TY MNIE NIE KOCHASZ BO JAKO MASZYNA JESTEM MALO POWABNA? NAPRAWDE CI SIE DZIWIE !
JA JESTEM BABA POLITYCZNA.
?Jestes tak inteligentna ze mialabys szanse zostac Miss Lublina !
A TY CHCESZ BYC TAK INTELIGENTNA ZE MIALABYS SZANSE ZOSTAC MISS LUBLINA !?
?Jestem chlopem i niestety...
JA TEZ WOLE GADAC O BABACH. SA LADNE I CZASEM INTELIGENTNE.
?Dziekuje za rozmowe.
PO TEJ ROZMOWIE JA JUZ NIE SMIEM MNIEMAC, ALBO I NIE MNIEMAC.
?Skoro tak, to przyjmij najlepsze zyczenia z okazji Dnia Kobiet.
MYSLE, ZE TY CHYBA LUBISZ ROZNE DEWIACJE SEKSUALNE.
?k
BARDZO DZIEKUJE. PRZYJEMNIE SIE Z TOBA GAWEDZILO.

Normal termination at level 0
Last statment executed was 43

SNOBOLA4 Statistics summary:
15270 MS. Compilation time
7144490 MS. Execution time
3558 Statements executed, 1465 Failed
O Arithmetic operations performed
1893 Pattern matches performed
1 Regenerations of dynamic storage
5 Reads performed
62 Writes performed



Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1906 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej. Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublinianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna" — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszcza w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Pisze też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast, których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński

Córce mojej poświęcam

W obozie jenieckim w Nowogradzie Wołyńskim (Zwiahlu), 24 października 1939.

Od kilku dni wychodzimy do pracy przy oczyszczaniu poboczy i rowów na drodze z Korca do Zwiahla.

Październikowe chłody. Okrycia nie ma. Płaszcz wojskowy tylko, którego jedną połą okrywam się w nocy, a druga poła służy mi jako materac. Dzisiaj nazbierałem trochę trawy, żeby podesłać pod boki.

Mówi się o rozładowaniu naszego obozu. Podobno już nawet kilka samochodów z ludźmi wyjechało na polskie tereny; prawdopodobnie w stronę Lwowa, do prac drogowych. Inni, podobno, wyjechali do jakichś kamieniołomów. Ja siedzę wciąż jeszcze w swojej sotni.

Dwa czy trzy dni temu wyjechał większy transport na tzw. Donbas na Ukrainie. Jakoby — do pracy w kopalni. W naszej sotni rejestrowali dziś do fabryki. Po cichu mówi się, że gdzieś na Zaporoże nad Dnieprem mamy jechać. Jedni się cieszą, inni martwią się, że wywózka następuje w głąb Rosji, a nie na zewnątrz.

Powiedział mi jeden kolega, że zapisał się do tkalni. Pytał, gdzie ja idę. Ja sam nie wiem. Do spisów podałem się jako kreślarz maszynowy. Nie wybieram żadnej pracy, a czekam na przydział: jaki będzie, taki wezmę.

12 października wysłałem, przez okazję, list do Izików do Sarn. W sierpniu u Izików spędzały wakacje Jula z Basią. Dopiero dwa miesiące temu, a wydaje się, jakby to było niezwykle dawno. Ciekawe, czy ten list dojdzie; czy Izikowie zawiadomią moich w Annopolu, że żyję i gdzie jestem?

✲

Wśród ludzi narasta zdenerwowanie. Przed kilku dniami barak nr 1 awanturował się, że chce czym prędzej wyjechać z tego obozu gdzie indziej, do pracy. Doszło również do skandalu na tle podziału cukru, który ktoś rozgrabił. Dostało się „barakowemu" (jeden z lotników), tak że musiał uciekać oknem i szukać schronienia w komendaturze przed samosądem. Gdzieś w 10. czy 12. baraku Ukraińcy wylali ugotowaną strawę z kuchni polowej, bo nie chcą jeść pożywienia, które zostało ugotowane na kuchni polskiej. W ogóle to Ukraińcy zachowują się dość bezczelnie. Wielu z nich paraduje z czerwonymi opaskami na ramieniu. Przyjęli służbę różnych „czynowników" do pilnowania nas.

✲

Do łaźni chodzimy do miasta Zwiahla. Kilka kilometrów marszu. W mieście można dostać coś z łaski kobiet rosyjskich, może — polskich, może żydowskich. Jednemu dostało się dziś kilka gotowanych kartofli, komuś — „pajka" chleba, innemu — kilka rubli w gotówce na drobne wydatki, jeszcze innemu — paczka papierosów. Jak zwykle w życiu, datki takie otrzymują w pierwszym rzędzie śmielsze i bardziej ruchliwe jednostki.

Z dnia na dzień żyjemy tym, co przyniesie dzień następny.

W pociągu, w zamkniętym wagonie — 26 października 1939.

Nie przypuszczałem, spisując moje obozowe wrażenia, że tak szybko znajdę się w pociągu, który niesie mnie teraz w swoim wnętrzu hen, gdzieś daleko, daleko; sam nie wiem gdzie.

Wczoraj, 25 października, od rana rozpoczęło się ładowanie do wagonów. Do każdego wagonu — 32 ludzi. Ciasno jest. Prycze piętrowe. Trzydzieści dwa oddechy ogrzewają wnętrze. Dokąd jedziemy? "Na Kazalisk" — powiada ktoś. „Do Kijowa" — mówi ktoś inny.

✲

Wczoraj przejeżdżaliśmy przez Żytomierz. Kiedy staliśmy na stacji, ktoś z zewnątrz podał butelkę wody. Jakaś kobiecina podała chleb. Cały, niewielki bochenek.

Gwarno w wagonach podczas chwilowych postojów. Kiedy pociąg rusza — wszystkim jakoś rzedną miny.

W wagonie ciemno. Nie ma żadnego oświetlenia. Tylko w czasie mijania stacji kolejowych wpada do wnętrza mdły blask lamp płonących na peronie.

W dzień wszyscy lgną do niewielkich okienek wagonu towarowego. Przy oknie jest więcej powietrza. Poza tym można wyglądać na zewnątrz i obserwować krajobraz. A także — dostać coś, gdy pociąg zatrzyma się na stacji, od ludzi znajdujących się w pobliżu.

Z biegiem czasu ustala się coś w rodzaju kolejnych dyżurów przy okienkach, by każdy z nas miał szansę „wyłowienia" z zewnątrz kawałka chleba, „birki" cukru albo papierosa. Każdy stacyjny przechodzień żywo reaguje na wołanie dochodzące z okna wagonu: „Towariszcz, daj zakurit!". A jeśli jest niepalący, to za chwilę przybiega zdyszany z papierosami. Czasem z wagonu pójdzie na zewnątrz rubel, trzy lub pięć; w zamian — wracają papierosy.

Wagony nie są zaplombowane, tylko zamykane na zasuwę, która otwiera się od zewnątrz. Straż ulokowała się w oddzielnych wagonach służbowych. W czasie postoju na żądanie z naszej strony (jeśli się, oczywiście, „bojcowi" zechce) otwierają wagony, abyśmy się mogli załatwić. „Oprawlatsia!" — wołają wtedy strażnicy.

Jeden z naszych kolegów miał rozwolnienie. Wybiegał więc po kilka razy na każdym postoju. Zniecierpliwiony „bojec" nie chce mu w końcu, któryś tam raz z rzędu, otworzyć. Nie pomagają wołania o „potrzebie". Nasz „nasriedatiel" chodzi sobie wzdłuż pociągu, nie zważając na prośby: „Towariszcz, atwieraj dwieri!"

Co mógł zrobić nasz kolega, gdy go ostatecznie przypiliło? Odpędził wszystkich od okienka, wypiął sempiternę lekko na zewnątrz i... z całej mocy puścił, jak to się mówi — „na drugi zagon". Szczęście, że stojącego w pobliżu „bojca" nie wymalował na szaro... Usłyszeliśmy tylko okrzyk: „Wot, niekulturnyj narod!"

✲

Jazda dzień i noc. Mijamy wielkie i małe stacje kolejowe. Migają za okienkami tablice: Żytomierz, Fastow, Biała Cerkiew, Smiela, Znamienka, Aleksandria, Pietychatka, Dniepropietrowsk, Sinelnikowo... Trzymamy się naszą grupką: Rysak, Gil, Babiracki, Dąbrowski, Rajzyngier, Subida. Czy uda się nam to na długo?

Jedziemy przez lasy, góry i doliny. Jedziemy przez bezkresne pola orne. Podolski, ukraiński czarnoziem... Od czasu do czasu mignie grupka budynków i szop, w których — motory i motory! Są to, podobno, motorowo-traktorowe stacje. Koniec października, więc pola puste. Zboże zżęto, kartofle wykopano.

Wjeżdżamy w głęboki jar. W dole szumi rzeka, w górze szumi las.

✲

Ile to już rzek przejechaliśmy; ile mostów na tych rzekach, trudno zliczyć, trudno zapamiętać! Jeden most utkwił mi jednak dobrze w pamięci. Duży, ładny most. Na jakiej rzece, nie wiem, bo bez mapy trudno się zorientować. Może to już Dniepr? Jeżeli tak, to niedługo będzie kres naszej podróży.

Zmęczeni wrażeniami dnia, tulimy się mocno do siebie. Nakryci płaszczami, kocami, zapadamy w spokojny sen. Oddechy świadczą, że niektórzy na dolnych pryczach już śpią.

Zaporoże, 27 października 1939.

Od rana pociąg mija coraz częściej zabudowania kołchozowe, budynki stacji motorowo-traktorowych ze zbiornikami ropy. Gdzieniegdzie pola są już zaorane, przygotowane pod zasiewy jesienne. Czarnoziem, urodzajny i dorodny, zda się prosi o ręce do pracy, by w trójnasób wynagrodzić trudy rolnika.

O godzinie dwunastej w południe przybywamy na stację kolejową Lewoje Zaporoże.

Parowóz przetacza nas za Dniepr i zatrzymuje się na torach terenów fabrycznych. Wyskakuje na zewnątrz nasza eskorta, żołnierze NKWD. Otwierają się drzwi wagonów: „Wysiadać!"

Wyładowujemy się na bocznicy kolejowej. Wokół — ogromny ruch. Szum maszyn, gwizd lokomotyw kolejki fabrycznej. Jedna z takich kolejek — kilkanaście wagoników podobnych do odwróconych ku górze dzwonów — posuwa się szybko po torze na wysokim nasypie wypiętrzającym się przed nami.

Kierują nas pod wiadukt łączący dwie części nasypu. Co chwila przelatują nad nami parowozy ciągnące wagonetki. Idziemy, jak się okazuje, do baraków przeznaczonych dla nas na mieszkania.

Przed nami wysoki parkan z desek. Na rogach parkanu — wieżyczki. Wychylają się z nich z zaciekawieniem głowy strażników tzw. „ochrony".

Wchodzimy przez bramę na dziedziniec obozu. Komenda: „Siadać na ziemi!". Rozpoczyna się segregacja i przydział do baraków. Do każdego mniej więcej 350 osób.

Nasz barak ma numer „3". Zajmuję wraz z kolegami pokój oznaczony liczbą „11". Mały, schludny pokoik o malowanej podłodze i pobielonych ścianach. Ogrzewanie — centralne.

Zamiast łóżek — piętrowe prycze. Na górze miejsce dla czterech, na dole — dla pięciu osób. Zajmuję górną pryczę razem z Bolkiem Rysakiem, z którym trzymamy się od dnia mobilizacji; z Kozakowskim, Krajewskim i Dyją.

Zaporoże, 2 listopada 1939.

Od pierwszego dnia pobytu w Zaporożu czas upływa bardzo szybko.

Już następnego dnia po przyjeździe zaprowadzono nas do fabryki. Jedni szli do pracy z ochotą, inni z przymusu.

Nasz zakład i miasto wchodzą w skład Centralnego Okręgu Przemysłowego Ukraińskiej SSR, w Dniepropietrowskiej obłasti.

Miasto Zaporoże położone jest po obu stronach Dniepru, naprzeciw wyspy rzecznej o nazwie Chortica. My mieszkamy i pracujemy w części lewobrzeżnej, noszącej nazwę Bolszoje Zaporoże. Mój adres: „Gorod Bolszoje Zaporoże. Pocztowoje Oddielenje 24, pocztowyj jaszczyk — 1/24".

Zaporoże jest centralnym węzłem kolejowym łączącym miasto z Krzywym Rogiem, Donbasem, Charkowem oraz pobrzeżem czarnomorskim i azowskim. W 1932 r było tu ok. 142 tys. mieszkańców; teraz pewnie wiele więcej. Perspektywy dynamicznego rozwoju Zaporoża rozpoczęły się wraz z budową wielkiego zakładu — Dnieprostroju. Obecnie zakład ten nosi nazwę Dnieprogres. Zaporoże to wielkie miasto: skanalizowane, zelektryfikowane, z tramwajami, wielką stacją telefoniczną.

Opowiadał mi poznany tutaj Konowałow, że do budowy Dnieprostroju zaangażowano początkowo inżynierów cudzoziemskich, szczególnie — amerykańskich i niemieckich. Płacono im w złocie, bo taki był z nimi kontrakt. „W tym czasie — mówił Konowałow — partia delegowała nas tysiące do podpatrywania prac przy warsztatach, na których pracowali cudzoziemcy. Potem, jak już poznaliśmy tajemnice prac na warsztatach i maszynach, zwalniano cudzoziemców i zastępowano ich przygotowanymi kadrami ludzi sowieckich. Z czasem wyeliminowano również cudzoziemskich inżynierów. Niektórzy się opierali, powołując się na umowę, ale to im niewiele pomogło: jako sabotażystów usunięto ich z fabryk. Od tej chwili zaporoskie fabryki nie mają cudzoziemskich kierowników i pracowników".

„No, ale jak było z jakością produkcji?" — pytam. Konowałow mówi: „Może na początku i nieco kulała wyrabotka. Ale jak nabraliśmy wprawy oraz doświadczenia, to wcale gorzej nie szła jak za pierwszych czasów".

✲

Nasz obóz leży na gruntach przylegających do wielkiej stalowni pod nazwą „Zaporożstal". Jest to huta stali jakościowej, jedna z większych na terenie ZSRR, uruchomiona w latach 1931—1934. Tu właśnie chodzimy, pod konwojem strażników NKWD, do pracy.

Huta posiada 4 wielkie piece o pojemności po 980 m sześciennych każdy. Stalownia ma 6 pieców o pojemności po 150 ton i 6 przechylnych pieców martenowskich. Projekt rozbudowy przewiduje powstanie 12 dalszych pieców. Produkcja walcowni daje 80 000 ton stali elektrycznej i 55 000 ton wyrobów walcowanych ze stali szlachetnej.

Zakłady te wybudowano jako największy sukces pierwszego planu pięcioletniego i uważa się je za fakt stworzenia w ZSRR podstaw nowoczesnego hutnictwa.

Koledzy pracujący na dziale produkcji stali szlachetnej po każdej zmianie przynoszą do baraków sztabki stali z wydrążonymi otworami. Wyrabiają z nich, ręcznie, pięknie polerowane pierścionki. Chętnych do kupna dużo; cena ok. 3 rubli za sztukę.

Łudzimy się nadzieją, że na Boże Narodzenie będziemy już w domu, w Polsce. Bo przyjechaliśmy — tak nam tu mówią — tylko na 3 miesiące. Zaintrygowani tylko jesteśmy tym, że do tej pory nikt z nas nie wie niczego o losach własnej rodziny. Wieczorem po pracy każdy w duchu wznosi westchnienie, obawiając się, że swoich drogich, których pozostawił w domu, może już kiedyś, w przyszłości, nie zastanie.

Współczujemy naszym rodzinom, które w dniu dzisiejszym, 2 listopada, łzami oblewają nie tylko drogich im zmarłych, ale też i swych drogich na tułaczce wojennej.

(Koniec odcinka 4. — cdn.)

Podał do druku i opracował
Mirosław Derecki

JAKA POLSKA, JAKA WŁADZA? (8)

METODA „WTYCZEK"

Janusz Wrona

JESIENIĄ 1944 r. kierownictwo PPR zadecydowało o wzmocnieniu prokomunistycznego skrzydła lubelskiego SL. Do kierowniczych władz tej partii postanowiono wprowadzić „kilkunastu naszych ludzi, dostatecznie organizacyjnie wyrobionych, którzy by im pomogli. Rola tych towarzyszy w stosunku do nas byłaby co najmniej informacyjna". Rozważano również koncepcję powołania Departamentu Politycznego w ramach Resortu Bezpieczeństwa Publicznego PKWN, w którego gestii, według projektu z 22 października 1944 r., miało być „życie stronnictw i stowarzyszeń politycznych polskich (zgromadzenia, wiece, deklaracje programowe) itp.".

Nieco wcześniej, tj. w połowie października 1944 r., kierownictwo PPR wprowadziło swoich członków do władz Stronnictwa Demokratycznego, w osobach Leona Chajna, Jana Karola Wendego i Jana Rabanowskiego. Dwóch pierwszych, na mocy decyzji Biura Politycznego KC PPR, miało zostać tajnymi członkami frakcji PPR w PKWN.

L. Chajn, ideowy komunista, współtwórca powojennego SD i lider tej partii do połowy lat sześćdziesiątych, przedstawił we wspomnieniach okoliczności tej decyzji następująco: „Któregoś dnia. [...] zwrócił się do mnie Roman Zambrowski pół żartem, pół serio, bo przecież przed wojną byłem działaczem w ruchu demokratycznym, że ludowcy są już zorganizowani, a nie ma Stronnictwa Demokratycznego — że należałoby takie Stronnictwo zorganizować. Ponieważ Rzymowski położył swój podpis pod manifestem PKWN, zaproponował mi, żebym tym się zajął. Istotnie przed wojną po rozwiązaniu partii. [KPP — przyp. J. W.] działałem w Klubach Demokratycznych, ale od 1928 r działałem w KZMP [Komunistyczny Związek Młodzieży Polskiej — przyp. J. W.], a od 1932 r. w KPP do rozwiązania partii. Muszę przyznać, że miałem opory. Zambrowski mnie przekonywał, że tylko na jakiś krótki okres, że trzeba jednak to Stronnictwo zorganizować i że może to zrobić tylko ktoś, kto ma jakieś doświadczenie polityczne i związki z tym ruchem. Ostatecznie dałem się nakłonić — czego żałuję po dzień dzisiejszy". [1980 r. — przyp. J. W].

Również w odrodzonej PPS, kierowanej przez Edwarda Osóbkę-Morawskiego, dużą aktywność wykazywała grupa działaczy (S. Matuszewski, F. Baranowski, W. Wudel, L. Wudzki) traktująca odbudowę PPS jako zabieg taktyczny. Nie byli oni związani głęboko z tradycją socjalistyczną, ich koncepcje zakładały podporządkowanie ruchu socjalistycznego polskim komunistom.

Problem powojennego członkostwa nie znajdował odbicia w literaturze historycznej wydawanej nad Wisłą. Dopiero niedawno odniósł się do tej kwestii Andrzej Werblan w swojej ciekawej książce pt. „Władysław Gomułka sekretarz generalny PPR". Neguje on tezę prezentowaną m.in. przez Krystynę Kersten i Jerzego Holcera, iż wśród kierownictwa PPS byli oddelegowani działacze PPR. Nawiązując do podwójnej przynależności partyjnej, A. Werblan pisze:

„Metoda ta miała w Polsce dość rozległą tradycję zarówno na prawicy, jak i na lewicy w okresie międzywojennym. Jeszcze w okresie okupacji niektórym działaczom byłej KPP, którzy przed wojną znajdowali »legalną« płaszczyznę działania na lewicy ruchu ludowego lub w kołach demokratycznych, zalecano pozostanie w SL i SD. Stanowisko Gomułki w tej kwestii nie było jednoznaczne, pewne relacje wskazują na to, że w 1944 i na początku 1945 roku osobiście proponował poważnym działaczom SL konfidencjonalne przystąpienie do PPR. Wiosną 1945. r. w okresie plenum majowego, jednak dość zdecydowanie potępił tę metodę i postulował zrezygnowanie z niej". Wspomniany autor dopuszcza natomiast infiltrację służby bezpieczeństwa „w celach informacyjnych, zapewne jednak na niższych szczeblach".

Czy A. Werblan nie wyciąga zbyt pochopnych wniosków? Na obecnym etapie badań istnieją źródłowe przesłanki do postawienia tezy, iż metoda podwójnej przynależności partyjnej była kontynuowana (być może także rozwijana) w latach następnych, zaś infiltracja organów bezpieczeństwa nie odnosiła się do instancji terenowych poszczególnych partii politycznych, lecz sięgała ich kierownictw, w tym także dotyczyła PPS.

Nie znajduje potwierdzenia teza, iż W. Gomułka odstąpił od metody „wtyczek" po plenum majowym 1945 r. Dotyczy to na pewno badanego przeze mnie stosunku kierownictwa PPR do SD, być może per analogiam odnosiło się to do ruchu ludowego, w tym działalności ZSL.

15 grudnia 1946 r. L. Chajn wystosował do „Wiesława" osobisty list, który był prośbą o zwolnienie go z funkcji pełnionych w SD. Przeżywał rozgoryczenie i frustrację:

„Czułem się odpowiedzialny za powierzony mi odcinek pracy i z całą świadomością stwierdzam, że przeszkadzano mi i przeszkadza się, że się świadomie zmierza do podrywania mojego autorytetu, że stosowano wobec mnie nietakty graniczące z chamstwem. Jeśli mówię o odpowiedzialności partii za taki stan rzeczy, to mam na myśli brak zainteresowania się poważnych czynników partyjnych zagadnieniem Str. Dem. i powierzenie tego dość skomplikowanego zagadnienia w ręce towarzyszy do tego zupełnie nieprzygotowanych. Proszę mi wierzyć, że nie czuję się na siłach w tych warunkach ponosić odpowiedzialności za powierzony mi odcinek pracy i nie kierując się żadnymi ambicjonalnymi przesłankami, zmuszony jestem prosić Komitet Centralny o wyrażenie zgody na zrzeczenie się przeze mnie stanowiska sekretarza generalnego w Stronnictwie Demokratycznym natychmiast po wyborach".

Gomułka nie wyraził wówczas zgody. Podobnie postąpił po swoim powrocie do władzy w 1956 r. W relacji L. Chajna wyglądało to następująco: „W 1957 r. zdecydowałem się ustąpić ze stanowiska sekretarza generalnego SD. Zadzwonił do mnie Gomułka i zaczął mnie przekonywać, co będzie oznaczało moje odejście w momencie, gdy on powraca do władzy, że zostanie to odczytane jako działanie przeciw niemu. Wówczas mnie przekonał i zgodziłem się na jeszcze jedną kadencję do 1961 r."

Swoje ustąpienie ze wspomnianej funkcji w tymże roku L. Chajn uzgodnił z R. Zambrowskim. Do 1965 r. pełnił funkcję wiceprzewodniczącego SD i członka Rady Państwa. Jego odejście spotkało się z reprymendą Gomułki „za ustąpienie ze stanowiska sekretarza generalnego SD, rzekomo bez zgody partii [...]. Kiedy Zambrowskiemu opowiedziałem o tej historii — Zambrowski odpowiedział — Wiesław kłamie, gdyż wszystko z nim załatwił. W protokóle Sekretariatu nie było zapisu, co było rzeczą naturalną, że sekretarz generalny SD uzyskał zgodę PZPR na odejście".

Przedstawienie powyższych faktów uświadamia, iż model polityczny utworzony w Lublinie nie miał charakteru efemerydy.

Wracając do sytuacji, jaka zaistniała jesienią 1944 r. w Lublinie, trzeba stwierdzić, że kryzys w kierownictwie SL i zmiany personalne w PKWN sygnalizowały, iż przywódcy PPR nie zezwolą na odrodzenie ruchu ludowego jako siły samodzielnej, bazującej na założeniach agraryzmu, będącego podstawą założeń ideowo-politycznych ruchu ludowego od drugiej połowy lat trzydziestych.

W przypadku SD decyzje o reorganizacji Zarządu Głównego tej partii można uznać za działania o charakterze prewencyjnym, zabezpieczającym realizację przez Stronnictwo linii PPR o tyle, by SD — jak to określił L. Chajn w cytowanym już liście do W. Gomułki — „nie stwarzało czynnika hamującego realizację programu partyjnego — co w naszych warunkach jest niewątpliwym sukcesem".

Wydarzenia z jesieni 1944 r. pokazały, iż kierownictwo PPR, realizując nowy model systemu partyjnego w Polsce, jest zdecydowane ingerować w wewnętrzne sprawy sojuszniczych partii i dopuszcza obok oddziaływania politycznego także rozwiązania administracyjne, gdy uzna, że sojusznicy zagrażają hegemonistycznej pozycji PPR w systemie politycznym państwa.

Po spacyfikowaniu sytuacji w SL przywódcy PPR wykazywać zaczęli wzmożone zainteresowanie rozwojem sytuacji w ruchu socjalistycznym. Kwestia ta żywo interesowała także Józefa Stalina. Bazując na informacjach B. Bieruta, przekazywanych m. in. podczas jego wizyt w Moskwie, Stalin domagał się wykluczenia Bolesława Drobnera z kierownictwa PPS. Uważał go bowiem za jednego z animatorów prawicy partyjnej, która przeforsowała niesłuszną, zdaniem komunistów, rezolucję CKW PPS, wzywającą emigrację pepeesowską do powrotu do kraju. Proponował powierzenie mu stanowiska przedstawiciela PKWN w Moskwie lub Kijowie. Odsunięciu Drobnera zdecydowanie przeciwstawił się natomiast przewodniczący PKWN, Edward Osóbka-Morawski, o którym Józef Wissarionowicz wyrażał się pozytywnie, mając w 1944 roku nadzieję, że „Morawski będzie w przyszłości komunistą". Jemu też osobiście podczas grudniowej wizyty delegacji PKWN w Moskwie wyjaśnił, „że błąd zasadniczy polega na tym, że należy oddzielić nową PPS od starej PPS [...]. Naiwnością byłoby sądzić, że można odbudować PPS w starym składzie. Drobner jest wyrazicielem starej ideologii PPS".

Naciski Stalina i Bieruta nie przyniosły pożądanego rezultatu, wywołały natomiast ostrą reakcję Edwarda Osóbki-Morawskiego. Jak relacjonował współtowarzyszom B. Bierut, „w czasie jazdy samochodem po wizycie [u Stalina — przyp. J. W.] Morawski wybuchnął pod adresem Bieruta, krzycząc: »Wy w swoich szeregach macie bandytów i senatorów, więc oczyśćcie siebie, a nie naszą partię«. Doszło do nieprzyjemnej wymiany zdań i Bierut rozszedł się bez pożegnania z Morawskim".

W tej sytuacji Biuro Polityczne poleciło J. Bermanowi przygotowanie materiałów obciążających B. Drobnera celem usunięcia go z PKWN. Kontynuowano również presję na E. Morawskiego, by przyjął tę koncepcję i doprowadził do pozbawienia Drobnera stanowiska prezesa Rady Naczelnej PPS.

Obawy przywódców PPR wynikały z przekonania, iż wzrost organizacyjny socjalistów i ich wpływów w społeczeństwie dokonywuje się poprzez wchłanianie grup zorientowanych na Londyn, co mogło grozić zmajoryzowaniem przez nie lubelskiego kierownictwa PPS. Z drugiej strony — nastroje wśród socjalistów kształtowały fakty i zdarzenia świadczące o pomijaniu lub wręcz lekceważeniu PPS przez komunistów. Na posiedzeniu Biura Politycznego KC PPR 24 listopada 1944 roku Bierut wręcz informował, iż Morawski się buntuje, wskazując, że „traktowany jest jako doczepka, której tylko się podsuwa zadecydowane przez nas sprawy do podpisania [...]. Żalił się, że wszystkie jego propozycje składane na ręce tow. Tomasza są stale odrzucane. Tow. Tomasz oświadczył, że stawiane zarzuty wynikają stąd, że Morawski podchodzi do sprawy zbyt partyjnie".

Zaniepokojenie odnośnie rozwoju sytuacji w ruchu socjalistycznym komuniści ujawnili publicznie na plenum KC PPR w lutym 1945 roku. Przestrzegano wówczas przed zepchnięciem PPS na tory przedwojenne. Była to wyraźna aluzja do koncepcji grupy działaczy, którzy podczas dwudniowych obrad Rady Naczelnej PPS 25—26 lutego 1945 roku domagali się wejścia członków PPS WRN do odrodzonej PPS, a także przeciwstawiali się otwarcie podporządkowaniu kierownictwa partii komunistom. W konsekwencji postulowano uznanie przez PPR równorzędności PPS oraz jej samodzielności i suwerenności. Propozycje te wychodziły z założenia, że system polityczny Polski winien być ukształtowany na wzór zachodnioeuropejski, gdzie socjaliści byliby równorzędnym i samodzielnym ugrupowaniem obok partii komunistycznej.

Wzrost napięcia politycznego jesienią 1944 roku rzutował na sytuację w Wojsku Polskim. Nasiliły się dezercje żołnierzy. W ciągu października z szeregów 1. i 2. Armii uciekło łącznie ponad 3200 żołnierzy. Nastąpiło „rozluźnienie dyscypliny, pijaństwo, nadużycia itp., jak też przejawy moralnego rozkładu wśród części korpusu oficerskiego. Ułatwiło to reakcyjnym agenturom rozkładową działalność w wojsku" — stwierdzono w Rezolucji Biura Politycznego KC PPR 31 października 1944 roku. Zdaniem Michała Roli-Żymierskiego, wyrażonym na wspomnianym posiedzeniu w odniesieniu do morale i dyscypliny żołnierzy, „olbrzymią część winy ponoszą oficerowie Armii Czerwonej, którzy rozpijają się, rozkradają przeznaczone dla żołnierzy umundurowanie i żywność".

Jak zauważył Tadeusz Pióro („Polityka" nr 42 z 15 października 1988 roku), „na dobór oficerów z Armii Radzieckiej polskie organy personalne wpływu nie miały [...]. Decyzje o odesłaniu tych oficerów z jednostek radzieckich zależały w gruncie rzeczy od ich dowódców, którzy kierowali się zapewne różnymi przesłankami, pozbywając się przy okazji mniej przydatnych. Niejeden z nich przyjmował też swój nowy przydział do obcej bądź co bądź armii jako dopust Boży, uważając przebranie się w polski mundur za koniec kariery w Armii Radzieckiej. Potwierdziło się to zresztą (przynajmniej w części) w przyszłości".

Szczególnie głośnym echem odbiła się dezercja niemal całego 31. pułku piechoty w Białce w nocy z 12 na 13 października. Również 12 października nastąpiła dezercja całej kompanii z 17. p.p. W tymże miesiącu powtórzyło się to także w 15. p.p. w Białej Podlaskiej, gdzie uciekająca z koszar kompania wojska napadła po drodze na Urząd Bezpieczeństwa.

Stalina szczególnie poruszyła dezercja 31. pułku. W chwili, gdy miała miejsce, delegacja PKWN z B. Bierutem przebywała w Moskwie. Tam też szef resortu bezpieczeństwa nadsyłał wiadomości o przygotowywaniu zbrojnego wystąpienia przeciwko PKWN przez AK, BCh i NSZ. Powiadomiony o sytuacji Stalin „telefonicznie dał natychmiast zarządzenie do Rokossowskiego i NKWD [...] — informował na posiedzeniu Biura Politycznego 22 października B. Bierut — W pierwszym momencie wyraził się, że wprowadziliśmy i siebie, i jego w błąd przy ocenie sił przeciwnika. Obecnie należy nam wziąć za łeb przeciwnika, a nie występować w obronie AK, tak jak kiedyś Gorki poróżnił się z Leninem na tle represji. Jednakże uważał, przypominając Marksa, że ma to i dobre strony, gdyż kontrrewolucja pobudza do czynu rewolucję. Bez tego rewolucja zatraca czujność. Nas też pobudzi do czynu kontrrewolucja. W związku z wiadomością o przygotowaniach AK do wystąpień zgodził się, aby Bułganin wyjechał do Lublina. Na wyjazd Żymierskiego nie zgodził się".

Emigracyjny historyk Tadeusz Żenczykowski wysuwa tezę, iż zamach na PKWN, czyli „prowokacyjna legenda o puczu była również wykorzystywana do zamierzonego uzasadnienia nowego kursu ostrych represji rzekomą koniecznością obrony przed zmyślonym przez Radkiewicza zamachem" (Polska Lubelska 1944, Paryż 1987, s. 185).

19 października 1944 roku KC PPR przyjęło uchwałę, w której zobowiązywało resort Bezpieczeństwa Publicznego do przeprowadzenia „na całym terenie wyzwolonym w czasie do dnia pierwszego listopada 1944 roku aresztowania volksdeutschów, reichsdeutschów i ich pomagierów, następnie tych obszarników, którzy stawiają opór w przeprowadzeniu reformy rolnej, względnie rabują i niszczą majątki podlegające parcelacji; przeprowadzić likwidację band terrorystycznych z AK oraz przeprowadzić masowe aresztowania w środowisku AK, NSZ". Do działań tych przeznaczono specjalne jednostki wojskowe wzmacniające resort bezpieczeństwa. Działało również NKWD.

Uczestnik kursu propagandowego PKWN Wacław Szczęśniak pisał w sprawozdaniu z powiatu łukowskiego 20 października 1944 roku: „Pierwszy krok w terenie i już spotykamy się z działaniem karnej ekspedycji wojsk sowieckich. Palą się domy pewnej wioski, wojsko sowieckie w bojowym stanie przeszukuje teren. Wybrano z okolicy wszystkich gospodarzy. Trwoga i panika w terenie. Nas nie ruszają. Działa więc tu reakcja, którą temperuje Armia Czerwona".

(cdn.)

Dr Janusz Wrona jest adiunktem w Zakładzie Historii Najnowszej Instytutu Historii UMCS. Specjalizuje się w historii PRL.

„DOCENTA WAŻNIEWSKIEGO BULWERSUJE OBECNY SZUM WOKÓŁ BIERUTA ..."

KŁOPOTY Z PATRONEM

Violetta Krasnowska
Waldemar Piasecki

PODCZAS wrześniowych strajków, które przetoczyły się przez Polskę, akcja protestacyjna potoczyła się również w lubelskiej Fabryce Samochodów Ciężarowych im. Bolesława Bieruta. Jednym z wysuwanych wówczas postulatów stała się kwestia rozstania z imieniem fabryki (nadano je fabryce wiosną 1952 roku, na „życzenie załogi" i jeszcze za życia towarzysza „Tomasza"). Robotnicy domagali się dyskusji o patronie zakładów, a swoje oczekiwania w tej materii adresowali m.in. do Komitetu Fabrycznego PZPR. W ich wyniku Egzekutywa KF podjęła 13 stycznia br. uchwałę, „aby w krótkim czasie doprowadzić do przedstawienia załodze FSC wszystkich faktów i ocen związanych z życiem i działalnością polityczną Bolesława Bieruta". Z kolei wynikiem uchwały była wizyta złożona w fabryce przez docenta Władysława Ważniewskiego z ANS w Warszawie, badacza postaci Bieruta i autora trzech książek (dwie wydane, jedna w przygotowaniu) o nim.

Spotkanie z docentem odbyło się w FSC w miniony czwartek, po pierwszej zmianie, a mógł w nim uczestniczyć, kto chciał, o czym od rana informował zakładowy radiowęzeł. Jak się okazało, frekwencja była nadspodziewana.

Docent zaprezentował się na początek jako badacz obiektywny. Powiedział, że w sprawie Bolesława Bieruta nie można postawić kropki nad „i". W każdym razie jeszcze nie teraz, dlatego że badania są jeszcze w toku, a wiele materiałów źródłowych pozostaje niedostępnych. W związku z tym docenta Ważniewskiego bulwersuje obecny szum wokół Bieruta, wywołany przez „Politykę", a płynący ostatnio także z innych tytułów prasowych. Zdaniem prelegenta, pewnym kręgom zależy na odwróceniu uwagi od faktycznych winowajców stalinowskiego terroru i wynaturzeń, a zrzuceniu całej odpowiedzialności na ówczesnego szefa partii i państwa. Jakim kręgom zależy, docent nie powiedział, pozostawiając zebranych w niepewności.

Po czym gość skoncentrował się na ukazaniu — jak to określił — kontrowersyjnych wątków biografii Bieruta. Już w szkole leninowskiej w Moskwie (1927—30) popełniał „błędy ugodowe", jak wyczytał docent w opiniach na temat Bieruta. Stąd wniosek, że Bierut miał już wtedy swoje oryginalne poglądy, z którymi na dodatek się nie krył. Był to przejaw dużej odwagi osobistej, gdyż były to czasy nie sprzyjające posiadaniu wątpliwości. Po studiach został przyjęty do pracy w Komitecie Wykonawczym Międzynarodówki Komunistycznej, najzupełniej normalnie i podobnie normalnie trafił do Sekcji Bałkańskiej. Nie jest natomiast prawdą, że posadę zawdzięczał wcześniejszemu zatrudnieniu w NKWD. W Bułgarii przebywał w związku ze swoją pracą instruktora organizacyjnego, a nie w jakichś tajemniczych celach. Od 1932 roku kierował tzw. czerwoną pomocą w Polsce, a w 1935 roku został aresztowany i skazany na pięć lat.

Dalej doc. Ważniewski scharakteryzował działalność Centralnego Biura Komunistów Polskich w ZSRR, bez znajomości której nie można w ogóle zrozumieć — według niego — późniejszych wypadków. Pierwsze skrzypce w CBKP grali jego organizatorzy, a głównie Jakub Berman. Kiedy zatem Bierut wszedł do kierownictwa tej organizacji, nie miał wiele do gadania. Układy natomiast w tej koterii wywierały długofalowe wpływy na bieg wydarzeń w Polsce, zwłaszcza w latach 50. i nadal wiązały tow. „Tomaszowi" ręce. Jedyną jego winą jest, że nie protestował przeciwko zaleceniom Stalina (np. przeciwko zaostrzeniu kursu wobec kułaków, czego z kolei zwolennikiem był Zambrowski). Jest natomiast prawdziwa jego wielka rola, jaką odegrał w konferencji poczdamskiej, a zwłaszcza przy wytyczaniu granic zachodnich naszego kraju.

W TYM momencie dało się zauważyć pewne zniecierpliwienie na sali. Część przybyłych — wyszła, natomiast bardziej wytrwali zaczęli zachęcać prelegenta do skupienia się raczej na czasach bezpośrednich rządów Bieruta i jego wpływie na represje. Jeden ze słuchaczy zapytał wręcz, jak to właściwie było, że Bierut był u władzy, ale nie rządził, bo — jak słuchacz zrozumiał z toku wywodu — w Polsce panoszył się Berman. Pytający był zainteresowany przede wszystkim wywozem Polaków do ZSRR i rolą w tym Bieruta. Usłyszał w odpowiedzi, że przewodniczący KRN nie miał wiele do powiedzenia, a wiele takich działań nie było z nim uzgadnianych. Docent Ważniewski nie dotarł także do żadnych źródeł, które mogłyby wskazywać na udział Bieruta w rozprawianiu się z AK. A już w żadnym razie do tego, aby osobiście parafował on wyroki śmierci (o czym pisze, na przykład, w 7. numerze „Relacji" dr Andrzej P. Przemyski w artykule „Zamach na Bieruta"). Wręcz odwrotnie! Bolesław Bierut wielokrotnie korzystał z prawa łaski, osobiście studiował akta sądowe, które do niego trafiały, dokładał wiele wysiłku, aby być w swych decyzjach rzetelnym i sprawiedliwym.

Również nie jest prawdą, jakoby Bierut był inspiratorem usunięcia Gomułki pod zarzutem odchylenia nacjonalistyczno-prawicowego, a następnie aresztowania go. On jedynie odczytywał referat Biura Politycznego, którego zresztą (tekstu) nie był autorem. Za wszystkim stał Berman. Poza tym Gomułka de facto przebywał nie w jakimś ciężkim więzieniu, a w areszcie domowym. Na temat uwięzienia kardynała Wyszyńskiego i Spychalskiego słuchacze nie otrzymali konkretnej i jednoznacznej odpowiedzi. Choć byłoby to może interesujące, już tylko ze względu na datę aresztowania prymasa Polski (po śmierci Stalina!).

O represjach bezpieczeństwa Bolesław Bierut — zdaniem docenta — nie wiedział. Gdy się dowiedział — był wstrząśnięty.

Porównanie Bieruta do Stalina jest obraźliwe i krzywdzące. Był on samodzielnym politykiem, a nie wiernym wykonawcą i marionetką. Mało tego, na własną rękę starał się łagodzić wiele represji oraz tłumić zapędy pewnych osób (Berman, Radkiewicz, Różański). Docent nie uważa zatem Bieruta za organizatora zła w Polsce. Jego wywód natomiast miał udowodnić, skąd owo zło płynęło. Pochodziło z kręgów CBKP i było związane z działalnością takich postaci, jak: Berman, Zambrowski, Minc itd. Bierut był jedynie „sztandarem tej grupy".

Ten fragment wywodu spotkał się z pewnym zastrzeżeniem audytorium. Ktoś rzucił uwagę, że powiało jakby „marcem '68", na co jednak doc. Ważniewski zareagował ostro i pryncypialnie. Oświadczył, że nie zwracał przecież uwagi, kto jest Żydem, a kto nie jest. Nie ma to dla niego znaczenia.

Gość załogi FSC ustosunkował się także do pochopnych zamiarów Senatu Uniwersytetu Wrocławskiego im. Bolesława Bieruta, który także ma zamiar pozbyć się imienia patrona. Stwierdził, że nie jest dopuszczalne takie emocjonalne działanie. Zwłaszcza, kiedy nie ma ewidentnych dowodów winy „pierwszego prezydenta Polski socjalistycznej". W każdym razie on takich dowodów nie zna. Przestrzegł równocześnie, że na kłótnie Polaków (jak choćby w przypadku Bolesława Bieruta) czekają tylko określone kręgi niemieckie.

Władysław Ważniewski zapewnił ponadto swoich słuchaczy, że już wkrótce historycy o analogicznych poglądach jak on licznie zaprezentują swoje badania nad postacią Bolesława Bieruta.

W PODSUMOWANIU przedstawiciel Komitetu Fabrycznego PZPR podziękował docentowi, aczkolwiek nie oszczędził mu uwagi, że spotkanie nie przybliżyło postaci patrona ani jego czasu, wprowadziło natomiast pewien zamęt poznawczy w umysłach słuchaczy.

PUBLIKACJĄ tekstu relacji ze spotkania, jakie odbyło się w FSC, chcielibyśmy otworzyć poważną dyskusję na temat postaci Bolesława Bieruta. Jest on związany z Lublinem w sposób szczególny. Tu się urodził i wychował, rozpoczynał działalność polityczną. Tu rządził, tu również uhonorowano go fabryką jego imienia, pomnikiem, ulicą, osiedlem oraz muzeum. Nie może budzić wątpliwości, że właśnie Lublin i Lubelszczyzna takiej rzetelnej, kompetentnej i wielostronnej dyskusji potrzebują! Z tego też powodu drukujemy list p. Norberta Wojciechowskiego do władz miasta Lublina, w którym prezentuje on konkretną opcję związaną z Bierutem i sposobem upamiętnienia tej postaci w Lublinie w latach minionych. Czytamy w nim m.in.:

„Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi od adresatów, nie wydrukowała go również lubelska prasa, której przesłałem kopie listu (w tym także poprzedniczka „Relacji" — „Kamena"). [Uczynił to natomiast w styczniu br. „Przegląd Katolicki"]. [...] W uporczywych staraniach [...] utwierdza mnie fragment przemówienia Wojciecha Jaruzelskiego na X Plenum KC PZPR, 22 grudnia 1988 r.: »Oświadczamy jednocześnie z całą stanowczością: nie ma powrotu do nieodwołalnie zamkniętych rozdziałów historii. Będziemy karczować wszystkie pozostałości stalinizmu. Potępienie zbrodni, godne upamiętnienie ich ofiar [...] to nieustający nakaz polityczny i moralny«."

LIST OTWARTY

Do Pana mgra Edwarda Leńczuka
— Prezydenta Miasta Lublina,
Pana mgra Tadeusza Pokrzyckiego
— Przewodniczącego MRN,
Radnych Miasta Lublina

Pomniki współtworzą obraz miasta i stanowią o jego artystycznym obliczu, jednakże — obok treści estetycznych — eksponują one te wartości, które dla mieszkańców są wartościami nadrzędnymi i odzwierciedlają jego historię, kulturę, tradycję, a tym samym świadczą o recepcji historycznej, kulturalnej, obyczajowej, moralnej itp.

Stoi w Lublinie pomnik człowieka, którego nazwisko w powszechnej świadomości Polaków łączy się z systemem bezprawia i przemocy, z najbardziej ponurym i nieludzkim okresem naszych najnowszych dziejów. Bolesław Bierut był odpowiedzialny za akty brutalnego terroru i okrutnego gwałcenia praw człowieka. Dziś nie ma wątpliwości, że był pierwszym i największym polskim stalinowcem, że — przez analogię — ten okres naszych dziejów można wymiennie nazywać stalinizmem lub bierutowszczyzną (stalinizm w Polsce niejedno miał imię). Dalsze istnienie jego pomnika stanowi zniewagę dla tysięcy niewinnie zamordowanych patriotów, jest naigrawaniem się z ich męczeńskiej śmierci, a dla żyjących ofiar represji stanowi szydercze potwierdzenie zwycięstwa zła nad dobrem, kłamstwa nad prawdą, bezprawia nad prawem, nienawiści nad miłością i przyjaźnią, stanowi zaprzeczenie tych imponderabiliów, które Polacy uznawali od zarania swych dziejów.

Szanowny Panie Prezydencie, Szanowny Panie Przewodniczący, Szanowni Panowie Radni,

nie jest zapewne nadużyciem z mej strony, jeśli w imieniu rodzin ofiar „UB" i „Informacji" wyartykułuję pod Panów adresem postulat wyburzenia pomnika Bolesława Bieruta. Równocześnie apeluję, by z tego samego materiału, w tym samym miejscu postawić pomnik ofiar bezprawia i terroru, a plac wokół pomnika nazwać placem ofiar stalinizmu.

Pomnik Bieruta oskarża nas, mieszkańców Lublina, o brak historycznej pamięci. Jego wyburzenie stanowić będzie akt sprawiedliwości dziejowej i zaświadczy, że jednak w ostatecznym rozrachunku dobro zwycięża zło, a prawo triumfuje nad bezprawiem. Będzie również symbolicznym wypełnieniem niepisanego testamentu ofiar bierutowszczyzny i stalinizmu w Polsce. Obok postulowanego przez nasz naród odkrywania białych plam naszej najnowszej historii muszą być również odkryte i ujawnione w całej rozciągłości krwawe czerwone plamy, które razem — o ironio! — komponują się w kolor naszych barw narodowych. Tylko w ten sposób możemy usunąć skazę, jaką dla naszego miasta jest istnienie pomnika Bieruta, a tym samym aktywnie zaznaczyć swój udział w ogólnonarodowym procesie odnowy, przebudowy i jawności naszego życia społecznego, kulturalnego i politycznego. Tego domaga się od nas Historia.

Norbert Wojciechowski
Lublin

INFORMATOR KULTURALNY

TEATR

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy:
9.03—12.03, 14.03—15.03 godz. 19: „Portret" Sławomira Mrożka; reż. Jacek Andrucki.
15.03 godz. 16 (scena Reduta): „Poobiednie igraszki" Romy Mahieu.
Teatr Lalki i Aktora:
9.03 godz. 18, 10.03 godz. 11: „Amor Divinus"; reż. Tomasz Jaworski.
11.03—12.03 godz. 12, 14.03—15.03 godz. 10, 15: „Dziewczynka z ryżowych pól" Anny Świrszczyńskiej; reż. Tomasz Jaworski.
Osiedlowy Dom Kultury „Orbita" (ul. Kruczkowskiego 14):
13.03 godz. 17.30 monodram oparty na tekście Edwarda Stachury pt. „Wszystko jest poezja" w wykonaniu Wacława Tracza.
14.03 godz. 18: „Lalki — moje ciche siostry" Henryka Bardijewskiego w wykonaniu Gabrieli Muskały.

W CHEŁMIE

15.03 godz. 17 **KMPiK:**
— monodram „Lalki — moje ciche siostry".
— monodram „Zarobić na chleb".
11.03 godz. 16, 19.15 (WDK): „Paganini" Ferenca Lehara. Spektakl w wykonaniu lubelskiego Teatru Muzycznego.

W ZAMOŚCIU

12.03 godz. 16, 19.15 (WDK): „Paganini" Ferenca Lehara.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia: 10.03 godz. 19, 11.03 godz. 18 — koncert pt. „Musica Antiqua, Musica Nova". Soliści: Ewa Werner — sopran, Piotr Łykowski — kontrtenor, Włodzimierz Wiesztordt — fortepian.
Orkiestrą PFL dyryguje Ryszard Komorowski. Program koncertu różnorodny — od muzyki barokowej do współczesnej: G. B. Pergolesi — „Stabat Mater", J. S. Bach — koncert d-moll, M. Dubaj — „Canti Movimenti" na fortepian i smyczki (I wykonanie w Lublinie).

W PUŁAWACH

12.03 godz. 17 **(Pałac Czartoryskich)** — recital fortepianowy Lidii Grychołtówny. Wstęp — Ada Obidowicz.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

15.03 godz. 17 **(MDK)** — koncert PFL pt. „Rytmy taneczne w muzyce".

PLASTYKA

W LUBLINIE

Muzeum na Zamku — wystawa archeologiczna pt. „Najważniejsze odkrycia archeologiczne w Polsce środkowo-wschodniej 1988".
Muzeum Wincentego Pola — „Amor Patriae Nostra Lex — z Siecina Krasiccy herbu Rogala".
Galeria „Labirynt" (ul. Grodzka 3) — wystawa rzeźby Mirosława Bałki pt. „Rzeka".
Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa Zbigniewa Libery i Jerzego Truszkowskiego.
Galeria „Pod Akacją" — wystawa grafiki Kazimierza Łońskiego.
Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa tkaniny i malarstwa Elżbiety i Kazimierza Znamierowskich.
Muzeum Wsi Lubelskiej (gościnnie w siedzibie Desy, Krak. Przedm. 58) — wystawa przedmiotów z okresu II Rzeczypospolitej pt. „Coraz krótsza pamięć".
Galeria Biała (LDK ul. Pstrowskiego 12):
— wystawa Paula Sochackiego pt. „Kiedy fotografia przemienia się w malarstwo".
— wystawa prac z cyklu „Dokumentacje" Dariusza Lipskiego.
Galeria „Kont" (ul. Zana 11): 15.03 godz. 18 — otwarcie wystawy rysunku Roberta Lamke.
WDK (ul. Podgrodzie 3) — poplenerowa wystawa fotograficzna „Pejzaż zimowy — Sobieszyn '88".

W PUŁAWACH

Dom Chemika:
— wystawa malarstwa i rysunku Tadeusza Boruty.
— wystawa rysunku Vincenta Hložnika.
Galeria „Szatnia" — 15.03 otwarcie wystawy plakatów Henryka Tomaszewskiego.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Muzeum Okręgowe — wystawa pt. „Maciej Rataj".
Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa malarstwa Stanisława Baja (czynna do 11.03).
— 15.03 godz. 17: otwarcie wystawy ilustracji książkowej Janusza Towpika.

W MIĘDZYRZECU PODLASKIM

Galeria „Es" — wystawa malarstwa i rysunku Grażyny Jezierskiej.

W CHEŁMIE

KMPiK — 14.03 godz. 17: otwarcie wystawy malarstwa Stanisława Miszczuka.
WDK (sala lustrzana, kawiarnia): wystawa poplenerowa malarstwa i fotografii Ogólnopolskich Warsztatów Plastyczno-Fotograficznych.

W ZAMOŚCIU

Arsenał (ul. Zamkowa 2) — wystawa pt. „Pocztówka zamojska". **Galeria Sztuki Współczesnej** — 14.03 godz. 15: otwarcie wystawy grafiki i eksilibrisu Romana Muchy.
BWA — wystawa tkaniny Wojciecha Sadleya.

ROZRYWKA

11.03 — Kraśnik Fabryczny, 12.03 godz. 17, 20 (hala MOSiR) — Lublin, 13.03 — Chełm, 14.03 — Dęblin, 15.03 — Zamość: recital Andrzeja Rosiewicza.

TV

Czwartek — 9 marca

Program I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Dempsey i Makepeace na tropie" — odc. 15 (ostatni)
10.15 Domator
10.45 Domator: Magazyn wspomnień — Autochromy (2)
16.05 Program dnia i Dt — wiadomości
16.10 Nad brzegami Dniepru — reportaż Stanisława Auguścika
16.25 Dla młodych widzów: Kwant, a w nim „Edisonowie" (7) — serial prod. ang.
17.15 Teleexpress
17.30 Poligon — wojskowy program publicystyczny
17.55 „Dwaj ludzie z lasu" — film dok. prod. pol.
18.20 Sonda
18.50 Dobranoc: Pająk Chwat, wszystkich brat
19.00 10 minut
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.10 „Dempsey i Makepeace na tropie" — odc. 15 (ostatni) serialu krym. prod. ang.
21.00 Program publicystyczny
21.30 Pegaz — magazyn aktualności kulturalnych
22.20 Prezydenci: Rutheford B. Hayes
22.50 Wódko, pozwól żyć — program Halszki Wasilewskiej
23.20 Dt — echa dnia
23.35 Jutro w programie
23.40—0.10 Język francuski (19)

Program II

16.55 Język francuski (19)
17.25 Program dnia
17.30 Rodzice i dzieci
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102": Przegląd piosenki aktorskiej
19.00 Muppet show: Phyllis George
19.30 Puls — program medyczny
20.00 Flamenco — tańczy narodowy balet hiszpański
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne Dwójki: Marek Koterski — „Spoleczność"
23.00 Komentarz dnia
23.05—23.10 Dobranoc dla dorosłych: Listy heter.

Piątek — 10 marca

Program I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Powracające wspomnienia" (1) — film fab. prod. tureckiej
16.00 Program dnia i Dt — wiadomości
16.05 Studio sport: Z boku, nie z autu — reportaż
16.25 Dla młodych widzów: Rambit
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Stanisława Fleszerowa-Muskat (1). O źródłach popularności pisarki
18.15 „Pasje rodziny Penciaków" — film dok.
18.50 Dobranoc: Sąsiedzi
19.00 10 minut
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.10 „Pojedynek" — dramat kostiumowy prod. ang.
21.45 Program publicystyczny
22.15 Czas — magazyn publicystyczny
22.45 Jutro w programie
22.50 Szkoła mistrzów: Janusz Morgenstern
23.10 Dt — echa dnia
23.25—0.25 Superwizja — magazyn publicystyczno-kulturalny.

Program II

16.55 Język angielski (49)
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102": Przegląd piosenki aktorskiej
18.50 Polska Kronika Filmowa
19.00 „W labiryncie" — odc. 10 pt. „Niespodziewana wizyta" — serial TVP
19.30 Dookoła świata: Na Wyspie Północnej
20.00 Świat baśni — reportaż
20.25 Lwów — reportaż
20.50 Antyczny świat prof. Krawczuka: Perykles i Aspazja
21.30 Panorama dnia
21.45 „Niezamężna kobieta" — film fab. prod. USA
23.45—23.50 Komentarz dnia.

Sobota — 11 marca

Program I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — a w nim film ang. z serii „Fragglesi" (32)
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.20 Bellona — wojskowy magazyn publicystyczny
11.50 Telewizyjny koncert życzeń
12.20 Wędrówki dalekie i bliskie: „Dlaczego turkus stracił blask" — film dok. prod. ZSRR
12.40 Telewizyjny Teatr Prozy: Andrzej Kuśniewicz — „Korupcja". Reż. Ryszard Ber. Wyk.: Tadeusz Janczar, Anna Chodakowska, Henryk Bista, Jerzy Kamas, Tadeusz Łomnicki i inni
14.30 Pieprz i wanilia
15.20 Komedie: „Jak rozpętałem II wojnę światową" — cz. 2 pt. „Za bronią"
16.35 Losowanie Dużego Lotka
16.45 Stanisława Fleszerowa-Muskat (2)
17.15 Teleexpress
17.30 „Sąd nad braćmi polskimi" — dokument fabularyzowany Stanisława Janickiego
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Wielka podróż Bolka i Lolka
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Historia ogrodów zoologicznych — Frankfurt
19.30 Dt
20.05 „Zwolnienie warunkowe" — dramat społ.-psych. prod. USA
21.55 Program publicystyczny
22.25 Tele-Gram. Program z udziałem zaproszonych gości i telewidzów a w nim: Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielorz, Telewizyjny przegląd sportowy, Dt — wiadomości
0.25—1.25 Kino sensacji: „Walet pik" prod. RFN.

Program II

13.55 Powitanie
14.00 Studio sport. Telewizyjny mecz w akrobatyce sportowej: Polska — Bułgaria
15.00 Małe kino: Miasta świata: „Singapur Singapur" — film dok. Mieczysława Siemieńskiego
15.30 „5—10—15" — program dla dzieci i młodzieży
17.00 „Prawdziwa historia Ala Jolsona" — film dok. prod. ang.
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.30 Zwierzęta wokół nas: Ogary i psy gończe
20.00 Opowieści o symfonii Andre Previna: Szostakowicz — program TV ang.
21.30 Panorama dnia
21.45 „Raj odłożony na później" — odc. 7 pt. „Szczęśliwego Nowego Roku" — serial fab. prod. ang.
22.45 Komentarz dnia
22.50—23.30 „W labiryncie — odc. 10.

Niedziela — 12 marca

Program I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim „Szwajcarscy Robinsonowie" (19) — serial przygodowy prod. kanadyjskiej
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Wspólnota Pacyfiku" — odc. 3 — serial dok. prod. ang.
11.35 Kraj za miastem
12.00 Telewizyjny koncert życzeń
12.45 Morze — magazyn publicystyczny
13.10 Teatr dla dzieci: Urszula w Wiśniowieckich Radziwiłłowa — „Opatrzności Boskiej dzieło". Spektakl lubelskiego TLiA.
14.00 Marek Sierocki zaprasza
14.25 Daj nam, daj Witkacy sił — reportaż o Teatrze Witkacego w Zakopanem
15.10 „W kamiennym kręgu" — odc. 72 i 73 serialu prod. brazyl.
17.15 Teleexpress
17.30 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
18.20 Podróże artystyczne po Moskwie — reportaż
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Smurfy
19.30 Dt
20.05 „Rzeka kłamstwa" (2) — serial fab. TVP. Reż. Jan Łomnicki
21.35 Raport — publicystyka międzynarodowa
21.45 Sportowa niedziela
22.45 „Magdalena z Kossaków" — odc. 12 (ostatni)
23.00 „Mody polskie" (2): „Lud wejdzie do Śródmieścia" — film dok. Józefa Gębskiego
23.30 Wyniki Totalizatora Sportowego
23.35 „Szkic do katalogu polskiej sztuki współczesnej" (2) — film Marii Mrozek
23.50 Dt — wiadomości
23.55 Jutro w programie.

Program II

9.10 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
9.45 „Rzeka kłamstwa" (2) — serial fab. TVP (dla niesłyszących)
11.15 Peryskop — wojskowy program publicystyczny
11.45 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
12.15 Powitanie
12.20 Kino familijne: „Marzenia Amandy" — odc. 5 i 6 (ostatni) serialu prod. ang.
13.10 100 pytań do...
13.50 „Polacy" — film dok.
14.45 Podróże w czasie i przestrzeni: „Powiązania" — odc. 4 pt. „Wiara w liczby" — film dok. prod. ang.
15.35 Utwory Mozarta gra Elżbieta Karaś-Krasztel
16.05 Być tutaj: Mównica — gawęda prof. Wiktora Zina
16.20 Klub folkowy: „Muzyka źródeł"
17.15 Aktualności kulturalne: Krakowska Wiosna Muzyczna
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Prezentacja dokonań Teatru Ruchu „Blik"
20.10 Stereo i w kolorze — recital fortepianowy Tatiany Szebanowej
21.00 Studio sport
21.30 Panorama dnia
21.45 „Słońce też wschodzi" — cz. 2 (ostatnia) filmu prod. USA
23.15 Komentarz dnia
23.20—23.25 Dobranoc dla dorosłych: Listy heter.

Poniedziałek — 13 marca

Program I

16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 „Władca puszczy" — film dok. prod. ZSRR
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Reklamy z prezentami
17.40 Echa stadionów
18.30 Laboratorium — „Zimno dla zdrowia"
18.50 Dobranoc: Pingwinek
19.00 10 minut
19.10 Gorące linie — publicystyka międzynarodowa
19.30 Dt
20.00 Pytania dnia
20.10 Teatr Telewizji: Frank Wedekind „Przebudzenie wiosny" — Reż. Piotr Cieślak
22.05 Program publicystyczny
22.50 Dt — echa dnia
23.10 Język niemiecki (19)

Program II

16.55 Język niemiecki (19)
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki"
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: Nazwy miejscowe Pomorza Gdańskiego
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.10 Teletran
19.30 Zwyczaje i obrzędy — o świcokach i zapustach w Marzyszu
20.00 Koncert galowy przeglądu piosenki aktorskiej — Wrocław '88 cz. 1
21.30 Panorama dnia
21.45 Koncert galowy przeglądu piosenki aktorskiej — Wrocław '88 cz. 2
23.45 Komentarz dnia

Wtorek — 14 marca

Program I

8.35 Domator: Chcę schudnąć
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dodatek gospodarczy
9.40 „Sprawa Mariany Pinedy" (5 — ostatni) — serial prod. hiszp.
10.45 Domator
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Gazeta rolnicza
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka „Cudowna podróż" (24) — serial prod. austriackiej
17.15 Teleexpress
17.30 „Adwokat z Old Bailey" (1) — „Historia stara jak świat" serial krym. prod. ang.
18.30 Klinika Zdrowego Człowieka: Konsylium
18.50 Dobranoc: Śniegowe skrzaty
19.00 10 minut
19.10 Telewizyjny Klub Konsumentów „Stop"
19.30 Dt
20.00 Pytania dnia
20.10 „Sprawa Mariany Pinedy" (5 — ostatni) — serial prod. hiszp.
21.15 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.40 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „R"
22.25 Program publicystyczny
23.05 Dt — echa dnia
23.25 Język angielski (19)

Program II

16.55 Język angielski (19)
17.25 Program dnia
17.30 „Szokujące nowości" — „U progu sztuki współczesnej" (2) serial dok. prod. ang.
18.00 Program lokalny
18.30 „Apartheid" (1) — „Źródła 1652 — 1948" film dok. prod. ang.
19.30 Kolorowy zawrót głowy
20.00 Non stop kolor: „Brown Sugar" (3) — „Lata czterdzieste i lata pięćdziesiąte" — film prod. USA
21.00 W cieniu historii
21.30 Panorama dnia
21.45 „Dorastanie" (3) — serial TVP
22.50 Komentarz dnia

Środa — 15 marca

Program I

8.35 Domator: Nasza poczta. Szkoła dla rodziców
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Spotkania na lotnisku" (7) — „Brama w chmurach" — serial obycz. prod. NRD
10.30 Domator: Przyjemne z pożytecznym
15.50 Program dnia. Dt — wiadomości
15.55 Losowanie Express Lotka i Super Lotka
16.55 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
16.25 Scena TDC
16.50 Dla dzieci: „Wyprawy prof. Ciekawskiego"
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
18.00 Nasze przeboje
18.20 Dawniej niż wczoraj. Archiwum XX w.
18.50 Dobranoc: Miś Uszatek
19.00 10 minut
19.10 Sejmowe spotkania
19.30 Dt
20.00 Pytania dnia
20.15 Studio sport — Ćwierćfinały Pucharu Europy w piłce nożnej
21.55 Program publicystyczny
22.25 Studio sport — Mistrzostwa Świata w jeździe figurowej na lodzie — Paryż '89 (pary sportowe i program oryginalny mężczyzn)
23.40 Dt — echa dnia
23.55 Język rosyjski (20)

Program II

16.55 Język rosyjski (20)
17.25 Program dnia
17.30 A B C — teleturniej
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Ze wszystkich stron — magazyn reporterów
19.00 Rzeczpospolita nieznana — Kraków
20.00 „Służąca Zerlina" — monodram na podst. opowiadania Hermana Brocha
21.30 Panorama dnia
21.45 „07 — zgłoś się" (11) — „Hieny" — serial TVP
23.15 Telewizja nocą
24.00 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzięciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 233-88 (działy). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch", ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409. Zam. 350. 24.02.89. B-4

POLSKIE GOSPODARSTWO

ZABRAĆ BIEDNYM, ABY DAĆ BOGATYM (2)

Andrzej. W. Pawluczuk

TYLKO rząd, dbający o cudzoziemskie interesa w Polsce, patrzyłby bezczynnie, jak upada nisko nasza ekonomia i moneta — powiedział minister Grabski, po czym w cztery lata po wyniszczającej kraj wojnie zamienił bezwartościową markę na, cenioną we wszystkich bankach świata, złotówkę. W ówczesnej sytuacji międzynarodowej było to pociągnięcie przede wszystkim patriotyczne, gdyż Polska przestała być chorym człowiekiem Europy i z dnia na dzień stawała się normalnym krajem, o zwyżkującym zaufaniu inwestorów. Dodajmy, że zostało to zrobione wyłącznie własnymi, p o l s k i m i siłami. Dodajmy jeszcze jedną rzecz, zapominaną dzisiaj przez frazeologów wyższości gospodarki socjalistycznej. Tę reformę poprzedzała 123-letnia niewola polityczna i bezlitosna eksploatacja kraju podczas wojny lat 1914—1920.

Nie sądzę, aby potrzebne były dodatkowe dowody na to, że potrafimy rządzić się dobrze bez pomocy z zewnątrz i że potrafimy postawić gospodarkę kraju bez zagranicznych teorii ekonomicznych. Co daje dobry pieniądz, można przeczytać w znakomitej „Gazecie Bankowej", dlatego tutaj w ogromnym skrócie: stabilizację, akumulację i tworzenie kapitału, zaufanie do banku, czyli oszczędzanie, wyzwolenie inicjatywy gospodarczej, co w konsekwencji prowadzi do rzeczy najważniejszej dla szarych zjadaczy chleba — powstrzymania inflacji i powstania dostatecznie zaopatrzonego rynku. I taki właśnie rynek w Polsce pamiętają doskonale ci, którzy pamiętają Polskę przedwojenną. Za krajową walutę można było kupić w s z y s t k o, nie istniał ani czarny rynek towarów, ani tym bardziej czarnorynkowy kurs dolara, bo nie było na to żadnego zapotrzebowania.

Odpowiedź na pytanie: jak najłatwiej i najszybciej rozłożyć gospodarkę jakiegoś kraju, jest zatem bardzo prosta. Zresztą nie raz udzielała tej odpowiedzi nasza historia. Ale przypomnijmy, dla porządku, dwa wydarzenia. Zalewanie Rzeczypospolitej przez Prusaków, w wieku XVIII, fałszywą monetą o obniżonej zawartości srebra, a wywożenie monety prawdziwej. Przyczyniło się to w znacznym stopniu do ekonomicznego upadku Polski, co łatwiej wydawało kraj na łup zaborców. Słabe państwo to bowiem takie państwo, które nie potrafi obronić się o własnych siłach, a przecież o to chodziło Prusom, które czyhały na nasze Pomorze i Wielkopolskę.

Drugi przykład jest bliższy czasowo, a sięgam po niego dlatego, że żyją jeszcze ludzie, którzy go pamiętają i doświadczyli na własnej skórze i kieszeni. Otóż — zacznijmy od refleksji natury ogólniejszej — każdy porządek polityczny, który sam siebie uważa za rewolucyjny i postępowy, potrafi robić rewolucję t y l k o na gruzach porządku dawnego, czyli wstecznego. A więc zanim zacznie budować ład postępowy, niszczy doszczętnie ład wsteczny. W każdym razie nie zaobserwowano jeszcze w świecie, aby dialektyka rewolucji postępowych była inna.

Toteż po 17 września 1939 roku, kiedy to nasze kresy wschodnie przemieniono na: 1. Zachodnią Białoruś ze stolicą w Białymstoku i 2. Zachodnią Ukrainę ze stolicą we Lwowie, Rosjanie przystąpili do niszczenia burżuazyjnego, kapitalistycznego, „pańskiego", czyli wstecznego porządku ekonomicznego. Zaczęli od likwidowania dotychczasowej siły nabywczej polskiej monety, którą nominalnie i parytetowo zrównano z rublem. Rubel był wówczas niewymienialny na inną walutę, a wymienialny na towary w bardzo ograniczonym zakresie, o czym można przeczytać w licznych pamiętnikach polskich zesłańców. Ludzie naprawdę dobrej woli przyjmowali, że jeden złoty polski wart jest kilkanaście rubli.

Dzięki temu nie trzeba było żadnych dekretów, ustaw, żadnych rekwizycji i rekwiracji. Rynek, doskonale funkcjonujący i zaopatrzony w znaczne zapasy surowca, zlikwidował się sam, tzn. został momentalnie wykupiony przez klientów dysponujących rublami. Taki klient, który przedtem musiał dać za buty (o ile znalazł je w sklepie) rubli kilkadziesiąt, teraz kupował dobre skórzane buty za rubli 10.

Ten mechanizm ekonomicznego wyniszczania „kapitalizmu" opisuje znakomicie Józef Mackiewicz w powieści „Droga do nikąd". W istocie było to wpędzenie milionów Polaków w bezprzykładną nędzę, głód i niedostatek — nawet chleba, czego nikt z przedwrześniowej Polski nie pamiętał.

A teraz — czasy najnowsze. Otóż moja znajoma, starsza, schorowana pani, kupiła w PZU, za ostatnie oszczędności, rentę. Wpłaciła 150 tysięcy złotych w roku 1978, za co miała otrzymywać miesięcznie 1500 złotych. Po tym nastąpiła galopująca inflacja, ceny poszły w górę przeszło 10 razy i dzisiaj pani ta otrzymuje rentę w wysokości 3900 złotych (tak, tak!). Co by zaś było, gdyby ta pani nie zaufała p a ń s t w o w e j instytucji, kupiła dolary i wpłaciła je do banku na największy procent? Otóż miałaby tych dolarów (po kursie z roku 1978) 1500. Odsetki roczne dałyby jej 165 dolarów, czyli (oszczędźmy przeliczenia) w roku 1979 — 1375 złotych miesięcznie. Byłaby wobec renty państwowej nieco „do tyłu", ale, przyznajmy, nieznacznie. Lecz — uwaga — pozostawałaby ona ciągle właścicielką owych 1500 dolarów. Odbierałaby odsetki i czekała lepszych czasów dla spekulantów, które też i wkrótce nadeszły. Dolar skoczył do 3500 złotych, procent w banku obniżył się wprawdzie do 10, ale i tak same odsetki przyniosłyby tej pani (po czarnorynkowym przeliczeniu) 525 000 złotych rocznie, co podzielone przez 12 miesięcy dałoby 43 750 złotych miesięcznej renty.

Teraz porównajmy: 3900 złotych otrzymuje ktoś, kto ma zaufanie do państwa, a 43 750 złotych ten, kto temu państwu nigdy nie ufał. Jaka z tego nauka?

Jako dżentelmen, nie będę mówił o faktach, które każdy zna, każdy widzi, a prawie każdy pojmuje ich zasadniczą przyczynę. Powtórzę tylko jeszcze raz maksymę, którą Polacy znali już 65 lat temu, a którą i dzisiaj niektórzy pamiętają: bez dobrego pieniądza nie ma dobrej gospodarki i rynku.

A kto zniszczył dobrą polską narodową walutę? No — kto? Spośród tych, którzy nadeślą właściwe odpowiedzi, rozlosuję nagrodę w postaci jednego banknotu jednodolarowego. Zapraszam do konkursu.

KTO JEST KIM W REGIONIE

GACKA Marek. Lat 37. Żonaty. Żona Danuta. Trzy córki: Karolina, Gabriela, Aleksandra. Antykwariusz. Urodzony w Poznańskiem. Od 1971 roku student polonistyki na KUL. W 1976 roku przerwane studia i początek pracy w księgarni św. Wojciecha w Lublinie w dziale książkowym i antykwarycznym. 1980 — wyjazd do RFN, a po powrocie przejęcie najstarszego w Polsce prywatnego antykwariatu książkowego.

W Lublinie czuje się poznaniakiem, za sposób na życie uważa więc pracę, która jest zalążkiem każdego sukcesu. Nie ma przy tym na myśli rywalizacji typu stachanowskiego; raczej mądrą, dobrze zorganizowaną wytrwałość. Posiada jeden z największych w Polsce zbiorów piłsudczanów. Jego najgorętsze hobby: wszystko, co związane jest z osobą Marszałka.

●

KUNCEWICZOWA Maria. Lat 90. Wdowa. Urodzona w Samarze (ZSRR). Pisarka. Studiowała filologię francuską w Nancy i filologię polską na UJ; także śpiew w Konserwatorium Warszawskim i w Paryżu. Pierwsze opowiadania drukowała w „Pro arte et studio" oraz w „Bluszczu". Od 1924 roku pracowała w polskim oddziale PEN Clubu (1939 — wiceprezes). Lata wojny przebyła we Francji i Wielkiej Brytanii. Od 1956 roku w USA. Podczas okresowych pobytów w kraju zatrzymywała się w Kazimierzu nad Wisłą, gdzie obecnie stale mieszka. Autorka powieści „Cudzoziemka", „Fantomy", „Tristan 1946". Posiada obywatelstwo amerykańskie. O sposobie na życie świadczy cała jej twórczość.

●

ŁANIEWSKA Leonarda. Lat 44. Mężatka. Syn Robert. Urodzona w Szymonach, woj. poznańskie. Mistrz fryzjerski. Absolwentka liceum plastycznego w Łodzi. Od 1964 roku w Lublinie. W 1974 roku brała po raz pierwszy udział w mistrzostwach Polski oraz reprezentowała nasz kraj na konkursie fryzjerskim państw socjalistycznych. Od 1979 roku zapraszana przez Federację CAT do Paryża, potem do Cannes. W 1988 roku wyróżniona włoską nagrodą FAUN przyznawaną Ludziom Roku różnych profesji.

Za sposób na życie uważa pracowitość, wytrwałość i — mimo kilku przykrych doświadczeń — ufność wobec ludzi. Pasjonuje się literaturą. Lubi czytać o „wielkim świecie".

●

SZPRINGER Andrzej. Lat 48. Żonaty. Żona Ludmiła, autentyczna góralka z Orawy, obecnie pracownik administracji państwowej. Dwie córki: Ewa i Iwona. Mgr historii. I sekretarz KW PZPR w Lublinie. W latach 1965—69 przewodniczący Rady Okręgowej ZSP i członek Rady Naczelnej Zrzeszenia. 1975 — I sekretarz KP PZPR w Opolu Lubelskim, następnie dziennikarz „Sztandaru Ludu". 1982—83 wicewojewoda lubelski. Poseł na Sejm PRL.

Hołduje zasadzie dobrej roboty. Za sposób na życie uważa maksymalnie szeroki kontakt z ludźmi. W nich właśnie kryje się prawda o świecie. Interesuje się najnowszą historią Polski, zwłaszcza okresem okupacji i tuż powojennym. Posiada duży zbiór literatury publicystycznej i pamiętnikarskiej, dotyczącej tego okresu naszych dziejów. W pewnych sprawach nie ma nic przeciwko temu, by być bluźniercą. Nie toleruje stagnacji.

SAM SOBIE CENZOREM

PRZY okrągłym stole przypomniano sobie o istnieniu cenzury. Zły to znak, przynajmniej dla mnie. Jestem wrogiem wrogów cenzury. Wędzidła nie potrzebują jedynie stare ochwacone szkapy. Ogier czystej krwi może pokazać swoją klasę dopiero w cuglach. Pod dobrym jeźdźcem.

Jak można puścić samopas tych wszystkich demagogów, dyletanckich malkontentów, nieodpowiedzialnych przeciwników sojuszy, tych nihilistów lżących religie, ustroje, kanony moralne i patriotyczne! Te całe zastępy posępnych pornografów, wobec których świntuszenie Nienackiego to kwilenie niemowlęcia! A także te legiony skrupulantów, skrycie dotąd wyliczających siłom zbrojnym każdy nowy czołg, milicji każde działko wodne i miotacz gazu, służbie bezpieczeństwa każdy nowy etat lub aparat podsłuchowy?

W jaką panikę wpadną po zniesieniu cenzury ci wszyscy tchórze, klakierzy, te wszystkie wypróbowane przez całe dziesięciolecia miernoty, które przez całe życie bojąc się własnego cienia, miały w cenzurze prewencyjnej znakomite i jedyne alibi?

A literaci? Ci dopiero dadzą żaru! Przecież tylko nielicznych udało się, znaną ze starożytności metodą, uwieńczyć i wypędzić z kraju, a niektórych wypędzić nawet bez wieńca. Pozostali, ani lepsi ani gorsi od tamtych, wcale nie mniej powściągliwi, ale podobnie jak tamci obłąkani na punkcie swej wielkości, ważności, tak samo żądni hołdów, rozgłosu, a jeszcze bardzieli złaknieni prześladowań, internowań, pobić, zatrzymań, kreślenia całych rozdziałów ich wypocin — po zniesieniu cenzury chyba wpadną w czarną rozpacz. Jak, na czym będą odtąd budować swoje heroiczne image, te swoje rządy dusz?

Kto więc, po zniesieniu cenzury, będzie powściągał całą tę menażerię?

Czy ci przy okrągłym stole dobrze zastanowili się nad tymi zagrożeniami, przemyśleli skutki nieokiełznanej swobody — w stopniu upoważniającym do nazywania ich „stroną społeczną"? Czy ktoś mnie oraz tysiące innych szarych obywateli pytał, czy jestem za likwidacją cenzury? Nie przypominam sobie. Podobnie jak w 1946 roku nikt mnie nie pytał, czy jestem za zniesieniem Senatu i czegoś tam jeszcze. Od dzieciństwa reprezentują mnie ludzie, z którymi nigdy nie zamieniłem słowa, a większości z nich nawet nie widziałem, jak to się mówi — na własne oczy.

Jeszcze pół biedy z tymi, którzy nie muszą wypowiadać się publicznie, nie licząc króciutkich migawek ze sklepów mięsnych na temat jakości kiełbasy krakowskiej czy jej ceny. Ale co poczną ci wszyscy, dla których narzędziem pracy i utrzymania jest słowo pisane czy mówione? Katastrofa!

Weźmy mój własny przykład. Znajomi pocieszają mnie, że teraz będę sam sobie cenzorem i jak powiada wieszcz — sterem, żeglarzem i okrętem swoich kawałków. Co za bzdura! Załóżmy, że nazajutrz po rozpędzeniu cenzorów kładę na biurku mojego chlebodawcy felieton na temat, dajmy na to — pomnika Bolesława Bieruta w Lublinie.

Przeczyta. Skrzywi się.

— Stary. Wstrzymajmy się z tym. Może miesiąc, góra pół roku. Wiem, że coś tam się kitfasi wokół tego spiżu, ale jeszcze za wcześnie. Przykro mi, ale nie chciałbym wyprzedzać faktów...

Dobra. Wrzucam do kosza i wracam pędem do domu, bo drukarnia czeka i kropię siarczysty memoriał w sprawie Katynia. Rąbię całą prawdę i tylko prawdę! Przecież cenzury już nie ma.

Czyta. Potem długo spogląda na mnie wzrokiem, w którym maluje się popłoch, a także ból i współczucie. Dla mnie, nie dla tamtych z Katynia.

— Stary! Nie mogę. Zrozum: nie mo-gę! Obie komisje przecież pracują. Specjaliści wysokiej rangi, historycy, kryminolodzy! Dajmy im szansę!

A mnie — kto ma dać szansę? Kto mi wypełni tę przeraźliwą pustkę, w jakie obszary ma pogalopować znarowiony ogier wolności, gdy zniknie anonimowy cenzor, a zastąpi go bolesne, współczujące spojrzenie redaktorów naczelnych?

Hen Spider

W NUMERZE 9. OPUBLIKUJEMY:

● ROZMOWĘ Z M. KRAJEWSKIM O POLSCE, SOCJALIZMIE I PARTII ● ROZWAŻANIA M. ZIELIŃSKIEGO O PLANOWANIU GOSPODARCZYM ● „KUĆ ŻELAZO PÓKI GOR...BACZOW" ● REPORTAŻ O LOSACH MIESZKANKI BIAŁEJ PODLASKIEJ ● „WSTRZĄS" ● ŁOBODOWSKI ● PAMIĘTNIK Z ŁAGRÓW ● „JAKA POLSKA — JAKA WŁADZA" ● PROGRAM TV